W DAL

ZESZYT PIERWSZY:

CENA 1 KORONA.

KRAKÓW 1906.

W DAL

Od Redakcyi.

Rozpoczynamy tym zeszytem wydawnictwo, mające się pojawiać w miarę potrzeby i możności.

Programu nie dajemy — o dążeniach naszych pisać nie chcemy. Kto przeczyta ten pierwszy zbiorek, a nauczył się patrzeć poprzez literę w ducha — sam odczuje, czego pragniemy: — j a k i m i   b y ć   c h c e m y — c o   c h c e m y   m i e ć   w o k ó ł   s i e b i e. Pismo nie jest celem naszym — jest tylko jednym, nie koniecznym nawet — przejawem Życia naszego. A jak się ono w każdym z nas w inną wkuło formę — tak i innym wyrazem bieży na zewnątrz. Przeto wszelkie słowo, strzałą upragnienia swego w D a l godzące, niechaj będzie z nami. Do tych się też przedewszystkiem teraz zwracamy, którzy z głębi upragnień swoich wysnuć potrafią Ż y c i e   w o l n e   i   d o s t o j n e — którzy Piękno swoje chcą mieć jedyną siłą bodźczą Wcielań swoich. Wierzymy bowiem, że w tem właśnie — choćby i sprzecznym uzewnętrzniało się wyrazem — jest istotna J e d n o ś ć.

Jeśli głos ten dojdzie do tych, dla których jest i sprawi to, co powinien — wówczas umożliwi się dążność nasza do objęcia jak najszerszych dziedzin życia, które jest w nas i po za nami.

Kraków, 20 czerwca 1906.

Z Upragnień Ducha.

I.

(Rzecz odczytana na pierwszem zebraniu „Wolnego Słowa“.)

Kiedy myślę o stosunku naszym — ogółu narodu — do tej epoki ducha polskiego, która się mesyanizmem polskiem zowie, dziwna, straszna baśń snuje się w rozbudzonej myśli: Skarby jakieś tajemne, ukryte w najgłębszych głębiach — po powierzchni ziemi mijają się ludzie w rozgwarze, obchodząc ostrożnie, jak najdalej, miejsce, gdzie skarby leżą — czasem któryś z nich wzrok ku nim wystraszony obróci, na chwilę tylko i znów śpieszy dalej... A kiedy wieczór przyjdzie i zmrokiem otuli głębie, a gwar ludzi się uciszy — wtedy nieliczni klękają przy skarbcu i łzy płyną im po zbolałych twarzach. Albowiem wieść gruchnęła i zarazą ogarnia naród ich, że skarby zieją dech trujący i mętem obłędu pętają dusze nieostrożne... A oni, nieliczni, wiedzą, co jest w owych głębiach najgłębszych... I staje się cud na tę chwilę, kiedy wiara klęczy przed tajemnicą głębi: oto się światło z nich podnosi i sieje blask dobroczynny i rozjaśniają się dusze nielicznych. A tylu, tylu przechodzi ciągle mimo i nikt z nich nie miał wiary, budzącej światło z głębi tajemnic...

Prawdziwie, jesteśmy ciągle jeszcze w bajce, zaklęci i mijamy jako truciznę skarby dobroczynne. A jednak mnożą się objawy i chwila zdaje się zbliżać, kiedy wniesiona będzie lampa do ciemnego pokoju — i rzucimy się w objęcia ojca, którego w ciemności mieliśmy za obcego.

Był czas, kiedy o mesyanizmie polskim nie można było mówić głośno, chyba, że się mówiło jako o herezyi, obłędzie i t. p. Treść religijna i dziś jeszcze jest pod grozą klątwy kościelnej. Imię Towiańskiego, z czcią wypowiedziane, wywołuje natychmiast zarzut sekciarstwa i odstępstwa. Czują, że podłożoną została nowa mina pod twierdzę ciemnoty i obłudy. Boją się chwili, kiedy lont będzie przytknięty. Ale to przyjdzie: będzie wybuch i zwalisko, jakiego może nie było jeszcze w dziejach — a wówczas pokaże się, że twierdza była podminowana ze wszech stron...

Natomiast w ocenieniu, jak się idee mesyaniczne odbiły na twórczości obu wieszczów naszych, coraz silniej toruje się droga prawdy. Najzdolniejszy, jedyny prawdziwie twórczy z pośród dzisiejszych krytyków naszych, St. Brzozowski, mówił parę razy w wykładach zakopiańskich o Towiańskim i jego znaczeniu i chyba po raz pierwszy w krytyce literackiej oceniono tę rzecz miarą słuszną i głęboką. Niepodobna, abyśmy się cofać mieli; krok pierwszy musi być początkiem pochodu naprzód. Wieść o trujących wyziewach głębi może się nareszcie sama kłamstwem swojem zdławi — i trzeba ją będzie jako trupa usunąć najprędzej, żeby zgnilizną rozkładu nie psuła powietrza. Mam wiarę, że ludzie poznawszy prawdę piękną i dobrą, nie mogą jej nie uznać — jeśli w nich iskra życia tli jeszcze. A nadto jest teraz czas dziwnie odpowiedni na zbliżenie się do owej epoki, pogrążonej dotąd w ciemnościach.

Atmosfera, w której żyjemy, przepełniona elektrycznością; burza nadciąga, grożąca ogniem piorunów, — chciałoby się zawołać — bywają chwile, kiedy się czuje prawo zawołać: już się ma pod koniec... światu gwałtów i ucisków, obłudy i nikczemności. Znaki się pojawiają na nieboskłonie dusz. Na pozór, wszystko porozrywane w pracach, robotach społecznych, partyjnych — ale ile poza tem westchnień głęboko duchowych, ile się poprzez to przedziera utęsknień religijnych! Zwracają się dusze, twarzą, drżącą pragnieniem wiary, w stronę, skąd czują jej blaski ożywcze. Czasem się takie westchnienie wyrwie w sfery, którąbyśmy sądzili opieczętowaną dawno w stosunku do życia religijnego. Oto mam na myśli przedmowę do polskiego tłumaczenia Kalthofa „światopoglądu religijnego“. Mniejsza o wartość książki, ale kiedy czytałem te słowa wstępne, miałem wrażenie, że setki dusz, w przeróżnych miejscach polskiej pracy społecznej pogrążonych, zatrzymuje się w ruchu, aby spojrzeć w głąb swoją i powiedzieć sobie: Tak — to nam już nie wystarcza — czego innego pragniemy...*) Nazwą to niektórzy potrzebą metafizycznego pogłębienia. Owszem — byle p o g ł ę b i e n i a; bo wiem, że i na tej drodze metafizycznych rozmyślań, w isto-

*) Jako znamienny objaw tych upragnień podajemy w niniejszym zeszycie artykuł p. Raabego.

tnej głębi — na wyżynach Myśli tryska źródło Wiary: w Tajemnicę, która władnie pozazjawiskowem światem— w Życie, które poprzez Śmierć idzie wiekuiście — w moc Ducha, która poprzez Zło sprawi cud Królestwa Bożego na ziemi...

I oto dotarliśmy do samej istoty mesyanizmu polskiego: bo on jest w tej wierze właśnie, bo tą wiarą żył i tworzył cuda. I doszliśmy do punktu, skąd już tą samą, co on, pójść musimy drogą: cierniami męki duchowej, bolów swoich i powszechnych, drogą, na której jest jedność cierpień i upragnień osobistych i ogólnych. W tym pochodzie miłość i ofiara tworzą osobistość jaźnią duchową, skupiającą w sobie naród i ludzkość.

Nigdy silniej, nigdy ogniściej nie wypisały się w duchu i życiu polskiem owe dwie idee twórcze: miłość i ofiara, jak właśnie w okresie, (który latami 1831 i 1848 zamknąć możemy) — a który nazywamy mesyanicznym. Niewątpliwie był to w życiu Narodu wielki moment kontemplacyi. Po burzach, które przeżył, przecierpiał, po upadkach i porywach, których dokonał — Naród rzucił się na kolana w bolesnej tęsknocie wyzwolenia i tak przeleżał w wnętrznem wpatrzeniu się w siebie. Aż przejrzał. Powiadają, że to było wypływem pesymizmu, zrozpaczenia — i że przeto całe to przejrzenie jest płodem ducha schorzałego. Prawdziwie — jeżeli człowick, który ciężkiemi doświadczeniami wiedziony dochodzi do szczytu, skąd cała droga dotychczasowa jasno przed nim staje, skąd mu się widok otwiera na dalszy, niedojrzany dotąd pochód — a „skąpawszy się w niebios błękicie", zaczerpnie nowego życia i odtąd wie, czego nie wiedział, jeżeli się może wydać komuś tonącym w pesymiźmie, który się chwyta brzytwy, — to i to miano, jakiem sceptycy dzisiejsi chrzczą jasnowidzącą wiarę ducha polskiego — niechaj będzie na świadectwo Prawdzie, której fałsz jest wrogiem wieczystym. Gdzie Bóg zstąpił, szatan syknąć musi...

A wszakże potem widzimy człowieka tego, naród ten, pełen sił nowych, idący w zapatrzeniu przed siebie, dokąd go wiedzie duch nowy. Czyliż mam mówić niewierzącym o tych cudach nowego życia, które płynęło z bolesnego momentu kontemplacyi?... Jak naj-

większy z pośród tych, którzy przejrzeli, wstaje silny Bogiem i odtąd krokiem każdym życia swego mierzy siły na zamiary?... I wielkie Słowo wieszczeń o duchu słowiańskim i czyn Legionu, który był jako ducha tego wcielenie — ogniste ślady pochodu w najwyższej Jedni myśli i życia. A oto „dwa na krańcach swych przeciwne bogi“ kojarzą się wiekuiście w umiłowaniu głębi dojrzanej. Szafarz tęcz błękity rozpościera nad ziemią i słońce na nich zapala — samotnik wśród serc i dusz ludzkich przemienia się dla spragnionych w ognisko miłości i życia — poeta staje się świętym. A którzy w formę rymów wlewali piękno swoje, rozbijają ją niby glinę pękniętą — i oddają się twardemu trudowi oczyszczania głębi swojej. Aż sami stają się Pięknem. I tejże chwili uczuwają w łonie swojem pierwszy ruch nowego pragnienia: Piękno ponownie woła o Słowo. Wtedy się walka podnosi w ich duchu, — dziwne, wzruszające udręczenie: azali wolno, co się przez Czyn przejawić winno, rozłamać na dźwięki Poezyi?... Mistrz rozstrzyga: podnosi Słowo na wysokość Czynu — i szczęście powraca w rozdwojone dusze, szczęście radością dziecięcą promienne: „Co mię dziś najwięcej raduje, ożywia, wzmacnia, to to, że mogę dalej przeciągać moją drogę poety, którą Bóg wie, od jak dawna idę, a której prawie się już wyrzekłem... Nie tylko, że mi wolno pisać znowu, ale jestto moja powinność. Mam odtąd służyć Duchowi Chrystusa poezyą, jak dotąd służyłem Duchowi Ziemi. Mistrz dał mi do tego nieocenione światło. Pokazał mi całą ważność poezyi, całą wysokość przed Bogiem prawdziwego poety“. *)

Zaprawdę, cała ta epoka wgłębienia się w siebie i tworzenia siebie, czeka jeszcze swego historyka. Ale będzie to jeden z nielicznych, którym Wiara zgina kolana przed głębią Tajemnicy...

Kontemplacya stwarza prawdę ducha: w duchu polskim zaliż nie stworzeniem była Myśl, która naród podniosła na wysokość Sługi Bożego, która go natchnęła wieczystem istnieniem w Chrystusie i pęd mu dała nieśmiertelny poprzez klęski ku wyżynom Zwycięstwa?... Pojmijmy nareszcie, że nie w słowach, ale

*) Goszczyński w liście do Słowackiego (p. Wasilewskiego „Stosunki Słowackiego z Goszczyńskim“. — Bibl. Warsz. 1895 I.)

w d u c h u, k t ó r y j e t w o r z y, j e s t P r a w d a w i e c z n a. Poprzez wieszcze słowa mesyanizmu wniknijmy w samo natchnienie, które je wydało. Czyli inaczej — wniknijmy w nasze natchnienie. Prawem natchnienia jest wolność, treścią ducha natchnionego widzenie swoje, odrębne. Nie ci, którzy wieszczenia powtarzać będą, ale którzy je z własnej głębi zaczerpną, ci są namaszczeni i powołani w twórczą służbę Ducha. Każde natchnienie ma swoich naśladowców i twórców, niewolników i władców. Tamci trzymają się wyrazu idei i łudzą się że można r e a l i z o w a ć, n i e t w o r z ą c, ci niejeden wyraz odrzucą i tem prędzej dotrą do samej głębi. Bądźmy twórcami — lub będziemy niczem. Dlatego powiadam, że musimy ta samą drogą iść — przez ból w głąb, przez mroki w jasność, przez głazy i urwiska na szczyt. Czy on będzie tym samym, na którym niegdyś stanęła Przeszłość? Bynajmniej — ale jedna jest atmosfera szczytów, atmosfera bewzględnego umiłowania i bezwzględnej ofiary, choć obejmuje ona wszystko, co się z wiary poczęło i idzie w przyszłość zwycięską.

Więc kiedy się rozglądam w tem, co się dziś w czynach naszych przejawia jako następstwo myśli mesyanicznej, nie mogę w tym tylko czy innym przejawie dojrzeć pełni ducha. „I d e a p o l s k a“ Szczepanowskiego — niewątpliwie pierwsze u nas w czasie dzisiejszym słowo, zwrócona ku wyżynom mesyanicznym. Ale jest już w niej pewne, świadome nawet, choć z samej indywidualności płynące zacieśnienie sfery widzenia. Jeśli chodzi o czyn, o charakter czynu, o energię w realizowaniu — Szczepanowski jest prawdziwie ideałem rycerza żelaznej ręki. Zda się, słyszymy chrzęst zbroi za każdem stąpieniem — a ziemia drży pod uderzeniem stopy. „Pal go w łeb!“ — za okrzykiem idzie czyn, ognistym grzmotem broni rozgłośny — i szatan — — czy szatan zabity?... To przynajmniej jakaś mara szatańska pierzchnęła z drogi rycerza — Farysa. Szczepanowski daje wiele siły w walce — ale jaką walka ma być, z jakiej głębi się wznieść?... Pytania w nieskończoności bytu pogrążone, indywidualność wyczerpać ich nie zdoła. W „idei polskiej“ myśl mesyaniczna, której cechą jest bezkresność, zanadto została uspołecznioną — zbyt bezpośrednio zwróconą ku użyteczności narodowej. Może to była wnętrzna tragedya jej twórcy: owo skiero-

wanie się w świadomem zacieśnieniu ku temu właśnie sposobowi realizowania, który uznał za najpotrzebniejszy, a do którego czuł się dość silnym... *)

Szczepanowski dał początek — wskazał źródła. Pamiętam, jak w pierwszym ze swoich „wykładów jagiellońskich“ Lutosławski wołał, że czuje nad sobą tchnienie obu — już wtedy tylko duchowo żyjących — Szczepanowskiego i Odrzywolskiego. Niewątpliwie, pod ich tchnieniem chciał przeciągnąć w czasy nasze myśl mesyaniczną. Ale tego nie zrobił. Ogarnął większy może obszar ducha, niż tamci obaj, ale nie miał owej siły twórczej, władnącej, która jest w miłości i ofierze, a która najrozleglejsze horyzonty ujmuje w Jedność. Miał rozbieżną siłę pędu, która przerzucając się z jednej sfery na drugą, wszędzie iskry elektryczne wzniecała. Zapewne — był nawet nieraz towarzyszący iskrze trzask, naśladodownictwo gromu. Ale słońca zapalić nie umiał – bo sam w sobie miasto słońca miał tylko ogniki błędne. Brakło mu wiary czystej i jasnej, owej przewodniej gwiazdy mesyanizmu naszego i tamtych dwóch, pod których tchnieniem chciał wielką nić snuć dalej. Można mówić już dzisiaj o tej fazie działania Lutosławskiego, jako o minionej — bo ślady w dziedzinie społecznego umoralnienia, które zostawił, czemże są dla głębi Tajemnicy?... Dzięki tylko istotnej potędze ducha rozmachem swoim uderzał dusze, które się z nim stykały. I to jest jedyna sfera, w której był nieraz głosem Nieskończoności — nieskończoność w innych ożywiał. Powtarzane wieszczenia były pustką w ustach jego — ale duch świadczył o utęsknieniach, którym brakło tylko mocy Wiary i Miłości, żeby się stać mogły Tęsknotą nieskończoną...

Powtarzam raz jeszcze: **kto chce realizować, musi tworzyć.** Wielkie myśli mogą być tylko podjęte przez wielkie dusze — dusze, które choć raz, spojrzawszy w siebie, ujrzały w sobie Boga, które choć raz zmierzyły się w głębi swojej z największymi w dziedzinie ducha i poczuły się na równi z nimi. Każda

---

*) Rozumie się, że nie miałem tu pretensyi wyczerpać całej doniosłości dzieła Szczepanowskiego. Tak samo i w następnych uwagach ująłem tylko pewne istotne cechy.

myśl wielka, która była w przeszłości, jeśli ma żyć, musi się ponownie tworzyć. Zaledwie w tem, co było, taką mamy pomoc, jaką wogóle dusza może dać duszy: poruszenie strun pewnych, ożywienie żądzy wnętrznej, karm dla utęsknień naszych. Aż dopiero, kiedy zdobywszy ponownie szczyt, zetkniemy się na nim z tymi, którzy go zdobyli przed nami — dopieroż jasność szczęścia i mocy daje nam poczuć, czem oni są dla nas.

Po wielkiej chwili ciszy, wśród której duch polski nasłuchiwał głosu Boga i czekał z drżeniem, jak się w nim odezwie, przyszła potrzeba czynu bezpośredniego, walki o zdobytą Prawdę. Legion słowiański był hasłem.

Potem padł długi okres niby uśnięcia ducha. Wielu się zdawało, że duch śpi. Ale to było milczeniem pokryte, niby śniegiem przysypane życie w głębi — przetwarzanie i odradzanie się kształtów jego — owa chwila, która w życiu jednostki często pod mianem bezczynności, dokonywa nieświadomych a stanowczych przemian. Duch wstał przeobrażony. Musimy wszak czuć to, że inni jesteśmy, niż byli owi pierwsi rodziciele ducha i swojej istocie odrębnej dać głos równie silny i donośny.

Tego nie mogę uznać w „Odrodzeniu“ lwowskiem, które jest ostatniem echem życia Szczepanowskiego i Odrzywolskiego. Jeśli u Szczepanowskiego zauważam wysnucie tylko pewnych tonów z całej harmonii, to jeszcze dalej w tem zacieśnieniu poszło „Odrodzenie“. Jest tam dążność do bezpośredniego czynu (tak dla chwili dzisiejszej znamienna), jest wiara — ale wiara raczej w ideę mesyaniczną, nie w to, w co wierzył mesyanizm. „Odrodzenie“ przyjęło natchnienie wieszczów za objawienie i dogmatyzując je, złożyło „credo“, z którego nic ująć ani do którego dodać nic nie wolno. Cóż przez to się dzieje? Oto kiedy w pierwszym bólu rzucony był głos: „Polska Chrystusem narodów“ — „Odrodzenie“ robi z tego dogmat objawiony. Dla mnie ten ból jest wiecznym, ale krzyk, jakim on się przejawił, minął — na świadectwo wielkiej miłości i rozpaczy. A przez ideę wnikając w ducha, czuję w wzlotach mesyanicznych wieczność dążenia ku Najwyższości, żar wieczystej „modlitwy o świętość“ — a nadewszystko ową wiarę, do której dochodzimy dziś zwolna, dziwnemi nieraz kolejami życia — wiarę

w Tajemnicę, która władnie pozazjawiskowym światem — w Życie, które poprzez Śmierć idzie wiekuiście — w moc Ducha, która poprzez Zło sprawi cud Królestwa Bożego na ziemi...

Czy nie widzicie, że oto wiara ta jest ponad kwestyą, czy Polska jest czy nie jest Chrystusem narodów, czy jest wybraną przed innymi narodami, czy też na równi z innymi iść ma ku Chrystusowej Wolności ducha i życia?...

Myśl polska istnieje, snuje się poprzez wieki rozwoju, zewnętrznego i wewnętrznego, uświadamiając się coraz wyraźniej. Ideał bohaterstwa, realizowany w walce o cele nie wyłącznie ziemskie i nie wyłącznie swoje — umiłowanie swobody indywidualnej, jako warunku i celu wolności państwa (z czego właściwie, w ostatecznym wyniku, płynie ideał bezpaństwowości) — oto cechy, które jeszcze w wiekach świetności w zdumienie wprawiały obcych, a po „bolesnem przeoraniu wnętrza“ (mówiąc słowami Towiańskiego) doprowadziły do uświadomienia głąb ducha polskiego. Ależ jasne jest, że w obrębie takich idei, jak bohaterstwo i wolność, mieszczą się otchłanie niezmierzone, że mesyanizm był potężnem pchnięciem wrót, które stały zaporą na drodze, był dalej pierwszem wpłynięciem na morze, które za temi wrotami szumi wiecznem życiem.

Więc oto zgiąwszy kolana przed głębią tajemnicy, która się już spełniła i wyprosiwszy sobie cud: że skarby utajone blaskiem nas swoim opromienią — wstajemy i idziemy dalej, w wieczność, nowe spełniać tajemnice.

II.

(Odczytane na jednym z wieczorów mickiewiczowskich w r. 1905.)

Powiem wam od razu, że nie myślę być tutaj wśród was jako punkt programu. Nie myślę bynajmniej i nie chcę dorzucać znów jednego dźwięku do tych przebrzmiałych melodyi, które was bawią, a mijając, nie zostawiają w was nic — ani niepokoju nawet, ani pytania nawet: „czem to było, cośmy słyszeli?“ Prawdziwie, przyzwyczajenie bywa straszne. Bo oto przywykliście, że na tych tak zwanych wieczorkach mickiewiczowskich musi być obok muzyki

i obok wierszy, jeszcze jedna rozrywka: przemówienie... I stało się to już szablonem i rok rocznie słuchacie tego, czem był Mickiewicz — i rok za rokiem opowiadają wam przeróżne rzeczy o tym, który był raz w Polsce — jedyny — geniusz nad geniusze. Ale to tak dawno było!... tak dawno — — — Wszak już liczymy dziesiątki lat od czasu, kiedy... umarł... A oto staję tu przed wami, a sumienia się waszego pytam: czyście przez te lata choć na krok bliżej przyszli ku temu, którego czcicie w oznaczone chwile uroczystości? Wierzę, (choć nie zawsze tak bywa), — ale wierzę, że nieraz w chwile takie, kiedy się w skupieniu czci zejdziecie, wysnuwa się z każdego z pośród was najgłębsza istota ducha jego, jako blask przeczyście promienny, a wszystkie one blaski spływają się w jasną kopułę światła ponad wami. Stajecie się wyżsi, podnieśli siłą, która w was jest, a tak rzadko, tak niezmiernie rzadko wie o sobie. Ale cóż? Chwila to tylko, jako ptak przelatująca ponad wami — a potem?... Potem to życie, które kłam zadaje dostojności ducha, to życie, które drgnięciem każdem odsuwa was od was samych, — od tej głębi, gdzie się jedynie spotkać możecie z tym Wielkim, którego chcecie uczcić. O, jakież piekło rozwiera się przedemną!... Spójrzcie, — powiadam wam — spójrzcie na dno tego piekła, wśród którego żyjecie: patrzcie jakie się tam gady kłębią, w sykach przerażenia żrące się wzajemnie, a mnożące slę ciągle w tem zażarciu na siebie. Albowiem syci je i rozpładza najzjadliwszy z duchów szatańskich: grzech frazesu. Broń mię Boże, abym wam miał dopomódz znowu do tej zbrodni nad zbrodnie, która dzieje się u nas codziennie, już prawie nie trwożąc nikogo: do tej złudnej zabawki chwilowej, która się nazywa „nastrojem uroczystym“, a jest najlepszą przykrywką dla wszystkich nędz, które są poza tem. Nie grzebać chcę po raz pięćdziesiąty wielkiego ducha — chcę go wskrzesić, w każdym z was wskrzesić, ażebyście poczuli, że jest, że żyw jest, a woła przez każdego z was. Gotujcie dusze wasze na zamieszkanie dla tego, którego dziś przyjąć chcecie.

Nie chcę uczynić tego, co się tylokrotnie już robiło — nie chcę błysnąć przed wami pięknem poezyi mickiewiczowskiej — a złożywszy hołd „największemu wieszczowi“ czy „naszemu wiel-

kiemu Adamowi“, czy jak się tam zwykle mówi od święta — odejść od was, a pozostawić was w mniemaniu, iżeście zrobili wszystko, co do was należało! Nie! Chciałbym raczej słońce nad wami zagasić, a pogrążyć was w ciemnościach nagłych, ażbyście w trwodze rozpaczy wołali o jeden choćby promień światła, — ażbyście musieli zapragnąć słońca, a umiłować jasność całym wysiłkiem ducha dławionego mgłą ciemności. A naówczas rzuciłbym na was słowami Mickiewicza: „Dobry jest pokój umarłym i szczęśliwym. My koniecznie świat niepokoimy i musimy niepokoić“. I możebyście w takiej chwili wreszcie pojęli, czem jest niepokój, czem jest żądza ducha — i możebyście nareszcie udręczeni ciemnością z tym jednym błyskiem światła rzucili się w otchłań Jasności — a bój stoczyli o to, czego bez walki nie otrzymacie. Jeżeli kto z was tutaj jest szczęśliwym, chciałbym go unieszczęśliwić zarzewiem niepokoju, a duszę mu rozpalić głodem, ażeby w krwawem udręczeniu pokarmu szukać zaczął. Powiadam wam, inaczej nic nie weźmiecie z Mickiewicza, a mówiąc o nim, będziecie mówili nie o Nim. Ta bowiem jest jedyna droga, po której idąc, spotkacie się z Nim — to bowiem jest Życie — a wszystko inne jest literaturą...

Powiedzmy prawdę bezwzględną: jaki Mickiewicz w nas żyje?... Czy może z owych chwil, kiedy z ognia młodości rzucił wielki płomień hasła: „mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił!“ — a z granitowej cierpienia skały, niby uderzeniem laski mojżeszowej zbudził żywy strumień wiary: iż „gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła...?“ A wszakże zdawna już przychodzą do was ludzie „uczeni“, a dowodzą, że to „szkodliwa poezya“, szał, z którym może pięknie było poecie, ale któżby, któżby chciał to brać dosłownie, a uczynić z tego siłę, tworzącą życie?... I wy — parę razy do roku pokłon dający wielkości — cóż robicie z ludźmi, którzy tak do was mówią i piszą?... Czyliż wypędzacie ich, przekupnie światłości, precz od siebie daleko, aby was oddechem swoim nie truli?... Zaprawdę — oto oddajecie im urzędy naczelne, krzesła poselskie, katedry profesorskie — to nic jeszcze, ale dzieci wasze dajecie im na pastwę... I przeto sumienia się waszego pytam: Jaki Mickiewicz w was żyje?... Czy może ten, który w wybuchu boleści najsroższej rzucił bluźnierstwo w Niebo — znak

wiary płomiennej — aż znalazłszy ukojenie na łonie Miłości Bożej, tam złożył w spowiedzi jęk nad tem, co widział wokoło: „Krzyż w złoto oprawiony — zdobi królów korony — Na piersi mędrców błyszczy jak zorze — A w duszę wniść nie może. Oświeć, oświeć ich Boże!...“ Czy może ten, który w błyskawicy jasnowidzenia ujrzał i w słowa zaklął największą Prawdę ducha narodowego: „J a i O j c z y z n a, t o j e d n o?...“ Powiedzcie, czy wielu z was jest, którzy wzięli Ojczyznę za chleb codzienny dusz swoich, a w miłości stali się jedno z nią w głębinach życia duchowego?... Czy wielu z was w otchłanne tajnie żywota przenika, jako ten, który wam powiada: „o ile polepszycie i powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie dusze wasze“. Ale cóż?... Oto jedni wam powiadają, że to był krzyk pychy, a drudzy, bąknąwszy coś o „mistycyzmie“, dowodzić wam będą, że to wszystko mogło mieć — zapewne — kiedyś jakieś podstawy — ale dziś, w „nowoczesnej kulturze“, Mickiewicza należy odłożyć — w księgi odesłać. Powiedzcie, czy nie czujecie, że stokroć lepszy wróg otwarty niż ten, co tak chyłkiem — zapaliwszy świeczkę w dni oznaczone — zakuć chce ducha w więzy bibliotek lub — co najwyżej — jeśli go stamtąd uwalnia, to na to chyba, aby rozłożyć na torturze krytyki literackiej?... Nie może być większa zbrodnia nad tę, ażeby ż y c i e wielkie, pełne bólów i wzlotów, pełne mąk i porywów — szczere, pełne życie przenieść w mgły l i t e r a t u r y... A tak się stwarza to straszne uśpienie się, to odsunięcie od siebie Wielkości, tę potworną przepaść między tem, co ma być, a tem, co jest — między Chwilą a codziennością — między Duchem a Czynem. Powiedziałbym wam: p r z e s t a ń c i e c z y t a ć M i c k i e w i c z a, a z a c z n i j c i e ż y ć! Przestańcie „studyować“ poetę — a zacznijcie żyć! Przestańcie bawić się w literaturę, a żyć, żyć zacznijcie!... Wołam na was słowami tego, któregobym ducha tej chwili wskrzesić w was pragnął — wołam: „N o w y ś w i a t t y l k o z b a w i P o l s k ę — w i ę c s t a r y z w a l i ć!“ Idźcie i zacznijcie burzyć!... A dopóki każdy z was nie zobaczy, co zwalić ma w sobie i poza sobą, — daremny trud, nie zbawicie Polski, nie ujrzycie nieskończonej wolności żywota... Powiem wam, czem musi być życie wasze: Znacie chyba wielkie dzieło Kurzawy — oto więc tak

w walce z Geniuszem życia władztwo nad nim zdobyć macie — oto tak mu wydrzeć macie tajemnicę jego — tak w natchnionem zdumieniu brać w siebie objawienie jego, tak go porwać potem z sobą, a krzyk rzucić: za mną!... A kiedy tak żyć zaczniecie, spotkacie się z Nim, od którego was dzisiaj stosy ksiąg oddzielają, a mówiąc o nim, będziecie mówić o sobie, albowiem wspólne będzie w was życie — — Oto jest, dlaczego się pytam dziś ciągle: Jaki Mickiewicz w was żyje?... Bo kiedy rozwieram księgi dni waszych, a chyląc się nad niemi w umiłowaniu dusz waszych pragnę tchnąć w nie życie tego, którego wam dziś przynoszę, zda mi się, że zamykają się księgi strwożone, a duch ponad niemi ulata, smętny, — gdzieś dalej... I myślę z boleścią: Jaki Mickiewicz w was żyje?... Czy, gdyby oto stanął przed wami, on, Wódz Legionu, czy poszlibyście za Nim do czynu, który był natchnieniem?... Czy, gdyby was z katedry na świadectwo ducha obudzonego wezwał, bylibyście wśród tych, którzy w płomieniu żądzy przeczystej wołali: widzieliśmy i świadczymy!... Ilu, ilu z pośród was?... Z boleścią myślę...

Jest wśród mnóstwa zapisek, które pozostały z kroniki życia Mickiewicza jedna szczególnie, pełna prawdy. Zofia Szymanowska w pierwszych chwilach bliższego zetknięcia się z nim, zapisuje: „Słuchając go, coraz więcej uczuwać zaczęłam, że sposób mój życia obecny jest jakiś nienormalny...“ W tem jest wszystko. Kto to poczuje, a poczuwszy zdobędzie się na odwagę powiedzieć to sobie głośno, a powiedziawszy okaże moc rzucenia życia nienormalnego, a zwrócić się tam, skąd mu światło wielkiego Ducha jaśnieje — będzie wśród tych, którzy go czczą każdą chwilą życia swego. Uroczystość wejdzie w życie — z mgieł ułudy zstąpi na ziemię, jasna, dostojna a prosta. Spełni się, czego pragnął Mickiewicz, iż się w ciało oblecze „duch żywy, duch chłopski, duch ruchu i siły, duch Boga żywego...“ Więc może już widzicie, czem jest to życie nowe, bez którego wszelka uroczystość frazesem jest i złudą. Nikt tak pełnie z przeszłości naszej nie wcielił ducha tego, nie pokazał życia tego, jak Mickiewicz. Ilekroć czuję tę potęgę żywiołu niezłomnego, wysnuwają mi się z duszy rozkazy bezwzględnej woli Króla Ducha:

„Chcę, żeby zamki były twarde
Na tych granicach. które duch stanowi
I polskie duchy tem przed Bogiem harde.
„Że przymuszone być z ciała nie mogą
„Przeciwko vetu swemu żadną trwogą."

Oto pomyślcie, takimi być musicie! — A nie ja sam mówię dziś do was: Czuję. jak się tu oto spływają ku mnie ze wszech stron żywe strumienie — dusze we mnie napływają, a głos mój nabrzmiewa wołaniem tych wszystkich, którzy już tak żyć zaczęli i was za sobą wzywają. Zacznijcie nowy świat tworzyć, abyście mogli zbawić Polskę!... I obwieszczę wam słowami Mickiewicza: „...Wstała z martwych Ojczyzna wasza i jest pośród was. Chcecie Ją widzieć? Nie przyjdzie Ona do was, zamkniętych u siebie; nie napłynie rurami jak powódź prawdy wezbranej do wysokości okien waszych. Trzeba się podnieść duchem aż do Niej. Nie szukajcie jej w niebie ani na ziemi, ludzie rady i ludzie czynu, zapytajcie was samych, gdzie jest, zejdźcie do głębi duszy waszej, natężcie ducha wewnętrzną pracą, a ujrzycie ją. okaże się wam zstępująca biała i czysta, jak gołębica, błoga zwiastunka przyszłych losów waszych..."

Niechaj zrozumie, kto może. czem jest Polska dla Mickiewicza, — czem jest dla nas Polska. A kto pojmie, zali będzie mógł ją na krzyż przybijać bałwochwaleniem potęgi materyalnej, zali ją będzie mógł zdradzać pocałunkiem judaszowym, dla niej to, niby krzywdząc i ciemiężąc braci, dla niej bezczeszcząc podnoszące się w krwawej męce ramię ludu polskiego?...

Skąd tacy czerpią wiedzę o duchu polskim?... Prawdziwe wieńce na trumnę poety niechaj pójdą złożyć. choć i trumna się może poruszy i strząśnie hańbę z siebie — — ale w ducha żywego złożyć dusz swoich niechaj nie śmieją, bo je wypluje, jako Syn Boży tych, co są letni...

Słuchajcie! Dla każdego z was przychodzi chwila, kiedy może wejść w Życie i wieczność zyskać. Przed każdym z was zatrzymuje się na tę chwilę krążący w sferach, które Niebo z Ziemią łączą, rydwan czarodziejski: spieszcie w nim miejsce zająć, aby was mógł unieść w nowe kręgi Światła... Słuchajcie! każdy z was może w takiej chwili zobaczyć promiennego ptaka, jak w nagłym

ruchu, rozłożywszy skrzydła tuż z przed zdumionych oczu ku słońcu ulata... Uczyńcie jako on — rozerwijcie skrzydła, a więzy z nich spadną i ulecicie wolni, nieśmiertelni!...

Oto jest chwila taka! Spieszcie się!... Albowiem nikt wiedzieć nie może, kiedy się nowa pojawi a zaszeleści blaskiem żądzy anielskiej... *Andrzej Baumfeld.*

O Wolności.

Biała gałęź akacyi kwitnie! — Oślepiający krzyk wesela i mocy wyciąga jasnokwiatne ramiona ponad ulicę, tam gdzie w czarnym oceanie nocy światło latarni wyprzestrzenia cichą, skupioną świątynię. Z łona ciemności, jakby z Wieczności dechu narodzona, nagle, zachwycająco i tryumfalnie, jakby na powietrzu, trwa akacyi kwitnącej gałęź! Białe ćmy Wieczności, święte, wonne kwiaty, bez szmeru, jasno płonące, błogosławią dookoła. O Alfo i Omego kwitnienia pełna! Oto jest kwitnąca gałęź akacyi, oto jest Wieczność, oto jest Nieskończoność. O kwiaty wy moje pełne tajemnicy milczenia! O duszo świata, w tę noc, w tym pasie światła rozkwitła! o duszo! duszo! — Biała gałęź akacyi kwitnie.

Dyalog się toczy:

Posłuchaj mię duszo, oto łączymy się pod znakiem idei w jedną gromadę, w orszak długi, na płomiennych skrzydłach świętego ptaka wiążący ramiona swoje w lot daleki, żórawi. Święte znaki kapłaństwa włożyliśmy na piersi, zamknęli duszę w myśl, dla wieków pochodnię i dogmat. Miła! w imię idei wołamy cię. — Drogi! jeśli nie sprawi ci to zbyt wielkiej różnicy, zamiast mi mówić o tych sprawach (ckliwa i mieszczańska nuda śiada tu koło nas) wypij oto lepiej tę szklankę herbaty. Jest dobra, wierzaj mi, ani o jedną kroplę mniej warta, jak setki słońc, płonących nad naszemi głowami. — Miła! duchowi bluźnisz. — Drogi! kto nie dojrzał Nieskończoności w szklance herbaty, nie dojrzy jej i w gwieździe najwyższej. Tak jak filisterstwo szklanki herbaty, istnieje i filisterstwo

idei. To tylko istnienia godnem, co leży poza słowem, czego nie obejmuje czyn. Nie dla idei żyjemy, — dla Milczenia żyjemy; nie dla prawdy jesteśmy — dla Tajemnicy jesteśmy. Kogo stanowi czyn, a nie to, co imienia nie ma, ani się kiedy wcieleśnia, tego rychło po schodach utylitaryzmu na dół zrzucić należy. Nie jesteśmy ludźmi idei, bo nie doczesność matką naszą, ale Wieczność nami. A tak kto chce być wynikiem Przypadku, a nie Nieskończonością, niechaj odejdzie od nas, a kto, patrząc przez wody wieków, dojrzy cień, o którym rzeknie: „Oto przewodnik mój“ niech się oddali co rychlej, bowiem sprawy ducha się tu dzieją. Czy mówię o rzuceniu słońca dla szklanki herbaty? Nie, mówię o ugotowaniu herbaty na ogniu słońca. To jest nauka o wartości. Biada kto czyn porówni z sobą kładzie, miast miłować go w wielkości jego dla pustki jego. Słowo milczy po to, aby mówiła Cisza, prawda o Tajemnicy bełkoce. I cóż wie głuchy o Ciszy, ślepy o Nocy, nieczynny o Nieskończoności. — Biada duchowi tych, którzy z idei dom schronny chcą swej głowie uczynić, szatra to bowiem tylko cygańska, na tułaczej drodze rozbiła. Pod zgniłemi, mokremi płachtami jej zielonotwarzy Głód wyje, aż złote słońca gasną i czernieją. O drogo, drogo ty moja! O palące piaski gwiazd, skostniałej stopy pielgrzyma zagrzać na chwilę nie zdolne! Dwoje warg ma Idea: Niemożliwość i Niepożyteczność i bełkoce niemi tajemnicze zaklęcia Nieskończoności; — przeto jest duchom ukochana, a co ponadto jest, z prochu dróg na pielgrzymim sandale jest. A teraz będę mówić o znieważonej matce lodowców słowa pąsowego wstydu pełne. Oto uczyniono z niej prostytutkę społeczności i narodów, zagaszono gwiazdę na jej czole i kazano rajfurzyć w lupanarze przyziemnej cnoty. Odmawia tam nawet niekiedy godzinki do Najświętszej Panny. Jakże kocham ludzi, którzy czynią zbrodnię. Ale cóż nam cyganom łańcuch z armat, czy różańców! Hej! w drogę włóczęgi!

Zaraz, zaraz drodzy. Widzicie tam — o, etyk! etyk! — Arcycnotliwy! błagam cię w imię twej duszy, popełnij najniegodziwsze, co tylko pomyśleć zdołasz. Uczyń to, uczyń. Milczy; — oto jest milczenie, które nic nie mówi.

Na gwiazdy! hej na gwiazdy! — Mówi dusza dalej. — Zmę-

czona jestem, pokaleczyłam nogi o krawędzie słońc, jakże jestem znużona. Gdzieś są jakieś domy ciche i białe. Nad stary dach rosną wysokie, wysokie topole, a przy kominku siada jasnooki spokój i przędzie nici szare, długie, mocne. I cóż jest wesela i pogody pełniejsze, jak ręką dziecka zasadzać drzewa, o które posiwiałą głowę będziesz mógł kiedyś oprzeć. Jakże ja cię kocham ty ziemio! Czy może więcej kocham wiatrem ugiętą, na bezdrożach rozbitą, szatrę cygańską? O marzenia moje! marzenia! o sny! Kocham cię stepie cichy i bez końca, w którym wiatr jedynie wieje daleki i was szczyty gór i ciebie i ciebie drogo tułacza. Ni tu, ni tam i wszędzie, gdzie przyjdzie myśl, gdzie zagna tęsknota. I nie mieć domu, ciężkiego ładunku, pod którym ugina się pierś i trzeszczą żebra, i bez steru płynąć, z twarzą oddaną na dalekie dachy, gdy nic pozad nie woła, żaden głos pożegnaniem níe zajęczy. Siła w samotności się łonie rodzi jedynie. Siła jest to wszelaka beztroska, stan, w którym nic nie może złupić, odebrać chytry, nikczemny Los. I cóż przemądry złodzieju? chodź tu skradający się krokiem kocim, otom jest naga, i nawet amuletu jednego nie ma na mych piersiach, a juki moje? ha, ha moje juki! sama nie wiem, gdziem je porzuciła na drodze. Przemożny rabusiu usuń się żywo, bo gdy cię muśnie w przechodzie wiew w oddal idącej w proch się rozsypiesz. Uciekaj przed idącą pustką i mocą.

Czego się strzedz należy duszo? Strzedz się należy niewoli sprzętu, ciała, czy myśli. Jako Cygany jestem, a mam wszystko, bom wszystko straciła. A teraz będziemy szaleć! Wejdziemy do katedry wawelskiej nadzy (zaprawdę bez figowego liścia) i stoły bachusowe przy trumnie św. Stanisława postawim i pić będziemy w bursztynowych pucharach toast na słońca cześć, aż bolesna twarz Chrystusa królowej Jadwigi kraśnym śmiechem o mroczne srebrne tło czarnego krzyża uderzy, a w świetlistych źrenicach Dyonizosa przepaść się smutku i tęsknoty rozewrze.

O jakże was kocham uczty moje sardanapalskie, o szały! o upojenia, przez których zielone płomienie szłam do świętych cel ascetów. Pamiętasz bracie Antoni pokusy nasze na pustyni? O niepokalane lilie ciała, rodzące w swych kielichach duszy majestat!

Tak zbrodnia jak i cnota duszy świętą jest. Tak zbrodnia jak i cnota bezducha zbrodnią jest.

Strzedz się też należy małej rozpusty; okrywa ona szlamem dusze, niszczy co piękne i wzniosłe. Pięknym i wzniosłym jest szał rozpasania i włosiennica ascetyzmu.

— Weź więc o duszo co wolisz, gdyż grzechem jest przeciwko duchowi, gdy ty odmawiasz jakiejkolwiek żądzy swojej. — Dusza: Znużonam jest, a nigdy nie syta; może na dnie kielicha rozpusty ukojenie odnajdę.

— Spróbuj duszo. — Hej ognistogrzywy szał! nagiego, palącego wesela pełne upojenie, na harfach rudych włosów pieśń nad pieśniami nagą piersią wygrywana, ognisty kielich ust ku ustom przechylony — pij! pij! pij! A ty zagaśnij niebo, a ty zgiń ziemio, a ty duszo pij! pij! pij! Niech się dzieje, niech się dzieje cobądź! Kielich w dłoni, róże na czole, lawa żył, pomieszana w oceanie ognia; — a ty zagaśnij słońce! a ty zagaśnij! O usta! o biodra! o piersi! Oto jest jedynie żywota warte, a cóż jest ponad to pod słońcem?!

Po krętych zwojach mózgu wałęsają się jeszcze długie krwawe cienie i orzą czaszkę ogonami cierniowych płaszczy. Zmęczenia potworny ptak głucho uderza w rozpękającą się czaszkę tępym, sępim dziobem. Hu! hu! hu! hu! lecą grzmiące ciosy. Corychlej, corychlej zanurzmy się pod spód rozszalałej lawy szału i rozpasania. Na dno! na dno! A ty zagaśnij słońce! a ty zgiń ziemio! Pij! pij! pij!

Otoś jest piękną duszo, otoś jest wzniosłą.

— Dusza: Niesycę się, niesycę.

— Czy nie zadowolił cię szał Heliogabala, rozpasanie podpalacza Nerona?

Dusza: Jakże ty mię nudzisz; smutnam jest do dna.

— Spróbuj iść na pustynię.

Dusza: dobra była rada. Zda się, że na tych rozpalonych, nagich, płowych piaskach znajdę nareszcie odpoczynek i ciszę. Ni jedno drzewo nie ocienia jaskini mojej, a oko słońca wypala wszelką trawę dookoła. Na te rozpalone żwiry Spokój kładzie przeźroczyste swe skrzydła milczeniem Wieczności, a w zbielałem powietrzu szarańcza się błąka. Nie dochodzi ni ludzki płacz, ni

śmiech; — o ciszo, ciszo. Umiera w piersiach wszelkie czucie i wszelkie pragnienie, staje się dusza nieporuszona i niezmienna, jak same niebo i pustynia. Gdzieś na piaszczystych krańcach kona zamordowany Czas, gdzieś na sinych widnokręgach do dna wysycha odwieczne źródło troski. W głębokim, bezdennym leju ginie na zawsze krwawy pot udręczenia i jad żółci. Wyschłe od postu, od głodu, od żaru ciało bezcielesnem się stało, a zczerniała pofałdowana na suchych kościach, na wyschłych żyłach skóra rozharfiła się zasłuchanej pustyni pieśnią Wieczności. Bez zmazym jest i bez żądzy, za żywota rozkosz śmierci pijąca.

Biała gałęź akacyi kwitnie.

Otoś jest piękną duszo, otoś jest wzniosłą.

Dusza: Smutnam jest do dna. To nie mój dom. Dla jednego tonu porzuciłam inne; ubogi śpiew mojego serca; i toć zamało by zapełnić.

— We krwi się ukąp i w pożodze, z wywleczonych jelit nieprzyjaciela skręć struny pod muzykę potęgi, posyp swe rany miast i wsi popiołem; oto koń Attyli przed tobą.

Dusza: Jakże mię nęci, jakże mię ciągnie ta droga po stratowanych narodach, po ruinach i zgliszczach, Już wiem! otom znalazła, co jedynie istnienia godne. I cóż jest ponad zniszczenie?! Hej niszcz! hej pal! O mord! o szał! Zaprawdę jedyny namiot, pod który sen schodzi, zbudowany jest z dymu i płomienia pożarnego; jedyną poduszką, na której odpocznie zmęczona głowa, trup zamordowanego. Tylko na ruinie, na krwi, na popiele stugwiezdny, szalony kwiat szczęścia i potęgi się rodzi; tylko na stratowanej do cna, wykąpanej we krwi po szczyty gór, ziemi dość miejsca wolnego pod stopy. Gdzież jest jeszcze co do zniszczenia?! Krwi! krwi! krwi!

Biała gałęź akacyi kwitnie.

Otoś jest piękną duszo, otoś jest wzniosłą.

Dusza: Wszystko daremne. Gorzkim jest kielich krwi, jako i szału, jako i wyrzeczenia. Nie syci Głodu mord, ani Pragnienia ukoi. Otom zubożała o każdą kroplę wylanej krwi, otom na żebraki zeszła. Biada wszelakiemu mordowi. Strzała, która przeszywa łanię, nam zatracenie niesie, oszczep, który godzi w pierś nieprzy-

jaciela, w serce mordercy uderza; a kto złamał kłos w przechodzie, — siebie zdeptał. Jakoż Nieskończonością może być, kto Nieskończoność niszczy, a Wiecznością głodu niewolnik? — Sąć nasycenia sposoby, jeno cena droga.

Dusza: Spłynęła na mnie cudna, piękna, potężna myśl. Otoć w momencie czasu Pełnią się stanę i Wiecznością do syta napoję. Tygrysicy głodnej na pożarcie się rzucę; w tygrysicy głodnej paszczy siebie odnajdę, do uczty zasiądę.

Rozchyliły się bambusy, wysunął płowy, srogi łeb, patrzą oczy ostre i świecące. Już idę!... Biała gałęź akacyi kwitnie. — Otoś jest piękną duszo otoś jest wzniosłą.

Umarłoś dawne życie i leż tam cicho, zabalsamowane, w trumnie z alabastru, zgaszonego ognia i zeschłych, cudnych jak senne widziadło kwiatów polnych. — Czasu przeszło wiele.

Ciebież to znowu duszo widzę? Tak, to ten sam kij tułaczy, tać sama podarta płachta na zgarbionych plecach. Jakież to barwne skrzydła, popisane w tajemnicze znaki, nosisz u ramion?

Dusza: Dziesięcioro przykazań ducha, którem skrwawionemi szponami z łona Tajemnicy w dniach tryumfów moich i pogromów moich wydarła. Takieć są:

Tyś jest Bóg swój, któryś się wywiódł z ziemi obowiązku, z domu niewoli.

I. Nie będziesz miał bogów nad Siebie.

II. Nie będziesz brał Imienia swego nadaremno.

III. Święć Dzień twój i uwielbiaj się czasu wszelakiego.

IV. Ponad ojca i matkę czcij Siebie.

V. Jeśli ci dusza mówi zabij, — zabij.

VI. Zadowolnij wszelaką żądzę twoją, gdy z ducha.

VII. Nie kradnij, bowiem tylko rabunek bywa pięknym.

VIII. Strzeż się fałszu, bowiem zabija on dumę.

IX. Rozwal łoże wszelakiego nierządu k'woli miłości Twej.

X. Nie pragnij niczego, bowiem wszystko posiadaj.

Coś ujrzała duszo na drodze swej?

Dusza: Widziałam sprawy, które mię troską i żalem przejmowały. Widziałam porzucających życie dla smutku, a nie było przy nich nikogo, ktoby im rzekł: „zaczekaj, są smutki jeszcze

większe i piękniejsze“. A tak odeszli, nim wychylili kielich smutku do dna użycia. Widziałam odchodzących dla ciężaru wielkiego na barkach, a nie było, ktoby im pokazał do wzięcia mozoły jeszcze większe. A tak nie wychyliwszy do dna rozkoszy trudu, odchodzili. Odchodzących, iż zbankrutowała ich dusza, a nikt nie ukazał im skarbów, które jeszcze utracić mogli, a tak, nie wychyliwszy do dna rozkoszy straty, odchodzili. A jakże niewielu było takich, co już wszystko posiedli, tych których nie odważyłabym się w ich pochodzie powstrzymać, dostojnych, wyniosłych kapłanów. I zaprawdę wszystko jedno czy na belkach krzyża, czy w paszczy tygrysa, czy na żelazie rewolweru święte swoje przedzgonne mysteryum odprawowali.

Cóż teraz będziesz czyniła duszo? Przyszłam, by etyczników nakłaniać do zbrodni, eleuterzystów rozpajać, abolicyonistom przychylać ku ustom kielich rozpusty, a społeczników nauczyć gardzić społecznością. Nienawidzę ludzi, którzy ze skrzydeł czynią powróz na ręce.

O wrogowie skrzydeł dajcie raczej wolą łaknącym zbrodni, pijaństwa, rozpusty i krzywdy, dłoniom swoim. Czemuż z lotu duchów kołyskę bezducha czynicie? Jakże kocham ten mój szlak wędrowny, gdzie ołtarze ciche i bez bóstw pod srebrnemi twarzami gwiazd wznoszę. O pójdź! weźmiemy całą Polskę na kij tułaczy i odejdziemy z nią na gwiazdy.

Czasami po bezdrożach tych, kędy chodzę, zastępują mi drogę głodni i żebrzą o jałmużnę. Ale ja wtedy wywracam przed nimi kieszenie moje i pokazuję, że nie ma tam nad zapłatę za najbliższą gospodę — a jakże często i tego nie ma, a idę bez troski o to co będzie — tak się włóczę bez końca od zajazdu do zajazdu, a jak go gospodarz dać nie zechce spoczynku, to siłą go sobie rabują. I dobrze mi jest tak wałęsać się w swobodzie i weselu, jakiego nie zaznają nigdy ludzie osiedli. I ja miałam swój dom, przestrzeń zamkniętą i więzienną, zmierzchu cichego pełną. Wyciągały się tam z pomroku nad głową moją błogosławiące ramiona pomarłych bóstw, szarym welonem wiązał oczy popiół wygasłego ogniska, a słodka, siwowłosa niańka-pokora kołysała kołyskę moją w takt długiej, przeciągłej piosenki. Aż przyleciała raz siostra-

burza i wywaliła drzwi cichej ustroni i doleciał uszu moich krzyk braci-piorunów i rozwinęły się skrzydła moje. Spaliłam stary dom, a skoro ostatnia belka jego w ogniu całopalnym runęła, rozsłoneczniła się przed sierocym smutkiem moich źrenic świątynia, która nie ma nazwy i granic i wstąpiłam zranionemi stopami na tajemnicze schody wnijścia, w gnieździsty przedsionek mego kościoła, tam, kędy tajemnicze morze żyje. Na ametystowej jego tafli odbicie kwitnącej gałęzi akacyi srebrno się pali i szepce milczeniem dziwnem o twarzy Nieskończoności, co się kiedyś w świętej wodzie przejrzała. I odtąd wiedząca fala mówi, o czem Wieczność milczy i strudzonym pielgrzymom wartość wszechrzeczy opowiada. Do uciekających krwią i kwitnącemi kwiatami schodów zejścia w tajemniczą głębię, przez szare rżyska, przez wydmy pustyni, przez dalekie, sine morza pątnicy ciągną. Na ugiętych mozołem barkach, ze serca ziemi, za cenę krwi, potu i łez wydarte, skarby dźwigają. We wyciągniętych w wieczystym trudzie nagich dłoniach święte ognie niosą, pochodnie żywe z ciał swych czyniący Prometeusza. Przez wieków noc bez wytchnienia wloką się, pod dziobem sępim skuleni, do swego celu. A skoro przyjdą, tajemnicza woda zmywa krew ich ran, pył ich stóp. I wyciągają dłonie ponad nią ze skarbami swemi, a bez dna zwierciadło odbija je garścią potłuczonych szkiełek, prometejskie ognie w garść szarego popiołu zamienia. Zrzucają wtedy płaszcze swoje, jedni z czarnej krwi mordu i pąsowego ognia, inni z bursztynowego słońca i ziół polnych woni; zrywają z piersi amulety, a są tam, zczerniałe od wieków czci, niezgłębionej tęsknoty wcielenia. Na sinem powietrzu mignęła mi twarz Częstochowskiej i w złotej gloryi swojej — zgasła. Najświętsze i najwyższe szczyty ziemi, które tu dodźwigali w trudzie żywota, we fioletowy, nadwodny zmierzch rzucają z uśmiechem wesela w zwycięzkiej nagości swojej. O morze! o morze!

I rozwierają się Powszechnego Dusz Kościoła podwoje, słoneczne wierzeje przybytku, którego nazwą milczenie, a objawieniem Tajemnica. Rozdziera się od szczytu po dół święta zasłona z Saïs przed tymi, którzy dusze swe znaleźli i obnażyli się do ostatka z Przemijającego. Takim jest kościół ów, na dwu, w przeciwne strony lecących, gwiazdach zbudowany, a w rozpękającem

się jego sklepienie biała gałęź akacyi rozkwita. W pomroku nienazwanej świątyni cienie długie snują się i kłębią. Attyla bierze krzyk Chrystusowy na barki, a Jezus na koniu Attyli wjeżdża; Franciszek z Asyżu na Neronowem siedzisku poi oczy Romy pożarem, a Cezar-matkobójca rybom i ptakom w braterstwie błogosławi. Korowód słoneczny i krwawy w Jedność zamyka święta obręcz Tajemnicy, ta, która poza czynem leży i o Jednem nieustannie milczy, droga duszy bez końca i początku, Wieczności wąż zielony, co w paszczy ogon swój dzierży. Dwa są skrzydła, którémi dusza ku szlakom owym wzlatuje: Dziecięctwo i Dostojność i po nich to poznaje się duszę. Jedno jest z promieni słońca, a z granitu drugie. Dziecięctwo jest to bezpośredniość w stosunku do Wieczności, a Dostojność jest tem, co czyni zbędnem tak dumę, jak i pokorę. Kędy przesunie się gronostajny płaszcz Dostojności, tam ginie Zło i Dobro. A tak zabity zostaje Czyn i zniszczony jego cień — Czas; a trup Czasu jest tym stopniem, po którym wchodzi się do Powszechnego Dusz Kościoła, czyli w Bezkres Milczenia o którem duch jedną wargą „Za“, drugą „Przeciw“ w modlitewnym szepcie bełkoce. A jest jeszcze bezduch, a raczej dwa są, Jeden mówi symbol „Za“ i powiada, „to jest dusza“ a jeśli ma władzę, torturą to udowadnia. Drugi mówi symbol „Przeciw“ i powiada „to jest dusza“, a jeśli może, stosem tego dowodzi. Te dwa nic nie wiedzą o duszy i to są wyznawcy wszystkich prawd, dogmatów i kościołów, ludzie śmierci, których niszczyć należy bez wytchnienia i litości. Są jeszcze inni, którzy ukochali sen i ci są może gorsi. Widać ich na rozdrożach życia, schylonych nad pierwszą lepszą małą cnotą i trocinami jej wypełniających całe owe wnętrze.

Apostołowie podwórek, mesyasze parafii, całe swe życie kładący na walkę z wódką jedni i to jest cel istnienia, na wypożyczanie książek w czytelniach i to jest cel istnienia, na zbieranie na chustki do nosa dla Murzynów i to jest cel istnienia itd. itd. Gdzież są ramiona, coby chwytały wszechmocnemi dłońmi za szprychy kół świata i gnały go po gwiazdach najdalszych?

Gdy się zrywa krzyk potężny, bój gwałtowny, o nowe, szalone piękne życie, podnoszą się na chwilę z apatyą ich głuche głowy, by się za moment nad zwykłem swojem zajęciem pochylić.

Gdy się dowiedzą, że wybuchły nowe wulkany ziemi, z niepokojem patrzą, czy kipiąca lawa nie popaliła ich warstatów. I tak po ślimaczych domkach swoich łagodnie, cnotliwie, pożytecznie — gniją. A nad Polską rozpościera się tymczasem szary, cuchnący, lepkobłotny polip małostkowości i dusi i kładzie swe macki na każdym kamieniu przydrożnym, na każdym sprzęcie domowym. A wokoło biją skargi na powszedniości życia, w którem Piękno i Moc miejsca jakoby mieć nie mogą, bo tylko za gwiazdami ich ojczyzna. Pospolite kłamstwo bezducha, któremu się wydaje, że duch dopiero za gwiazdami się zaczyna. Szeroka, cuchnąca fala bezpolskiej hołoty zalewa ziemię krwi i świętych szubienic, na Golgocie narodu wychodki swoje stawia, w plugawe ręce święte księgi natchnionych bierze i czcią je swoją znieważa.

Jakże często Polska-duch przeciwna jest Polsce-tłumowi. Ileż to pomników Mickiewicza w Polsce, a przeciętny „inteligient“ nie zna tej duszy, jak nie zna w linii przeżycia całej duchowości polskiej, choć miewa o niej niekiedy obszerne wiadomości jej komiwojażera. Nie tak już barbarzyńscy ci, co z wypowiedzianego słowa kanon chcą narodowi uczynić, zakonu księgę zamkniętą i obowiązującą, jak gdyby to, co duszę stanowi nie było Milczeniem i Nienazwanem. I przeciwko słowu ducha — gdy z ducha — mówić wolno, a duch kędy chce tchnie i któżto mu drogi jego wytykać i przepowiadać może.

Któż zna tajemnicę tego, na pustyni przed narodem gorejącego, słupu ognia, co w dłoniach swoich młot spiżowy niesie i wszechmocnemi ciosy stare swe kształty na nowe druzgoce.

Chrystus narodów? Był nim, ale w przyszłości może ich Attyla. Byle Polska była duchem, wolno jest jej być wszystkiem. Więc cóż stąd? Niemniej żałobliwy widok polskich Bismarków, po galicyjskich mieścinach bijących wieprze, sprzedających olej rycinowy, czy kłócących się z chłopami o pogrzeby, albo znowu w Królestwie, czy na Litwie tradycyjne faski bigosowe z tromtadrackim gestem na kark, miasto głowy kładących, że się w bigosowym sosie krwawy krzyż polskiej Golgoty błazeńskim kształtem odbija. Czas jest brzuchowi polskiemu walkę na śmierć i życie wypowiedzieć, a na Niemnie i Wiśle kolumny Kościoła Powszechnego Dusz

budować. Czas jest iść na wojnę świętą, Czyn sprawiać. A więcej postokroć jest Czynu i rozszerzenia granic Polski w jednym stołku, w sztuce polskiej zbudowanym, niż we wszystkich zwadach niepolsko-nieruskich. Przeto jednak wolno jest bić słupy w Dnieprze, jeśli są strunami w harwie Wieczności, a nie wytycznemi dróg kramarzy, a to jest walka duchów, co dotąd zakrwawionemi skrzydłami biją nad zaginionym szczerbcem; — bądź pozdrowione dawne serce moje. Kędy zwiastowanie Nieskończoności słowem duszy polskiej sięga, granice Rzeczypospolitej są, a kto na odwrót czyni dla ceł i wszelakiego bezducha, jest zaprzeczycielem narodu. Co innego znajdowanie jest duszy polskiej w mowę obcą mówiących i w księgach Żywota sprawy owe są pisarze, a niewiadomo nie za jakie rzeki, ale za jakie gwiazdy granice Ojczyzny naszej idą, a co innego jest ludzi obcych w naród wprowadzać, czyli wieść go ku zagładzie.

Tak stać się może, iż miasto 20 milionów Polaków, 60 milionów cudzoziemców po polsku mówiących dziedzinę piastową zagarnie. Kto wynaradawiać chce obce narody na rzecz swego, swój własny wynaradawia. Strzedz należy Polski przed ukrytym sztychem kramarzy cudzoziemskich, dalekość granic za cel stawiających. I na Ukrainę i na Inflanty objawienie Ojczyzny naszej w najwyższem słowie ducha nieść należy, a gdy tam ujrzą, że jest ich dusz głosem, granice ziem naszych tam pójdą. Któż wie czy od narodzin swych nie czekają morza Czarne i Bałtyckie, w harfianej tęsknocie na przyjście duszy polskiej, by jej słowu tajemnice swe i pragnienia powierzyć — o nieme dalekie, spętane wody!

Polacy są, którzy najwyższy wyraz dusz swoich w Pięknie Polskiem znajdują. Kto chce mówić Wolność, niechaj mówi Polska, czyli sprawy duszy, a mniejsza o to, zbrodnią, czy cnotą zwane. Któż wie, co jeszcze milczenie duszy polskiej w łonie swem chowa. Z zachodu przyniesiony krzyż rzymskiego kościoła rzucono jej na barki, opasano ją złocistym pasem, zezuto lipowe postoły i nałożono czerwone buty, przypasano krzywą szablę do boku; w atłasy i sajetę mongolskiego wschodu piastowego gazdę przyodziano, żeś na płowe włosy złożywszy zamyślone dłonie, schroniła się smutna do przyziemnych chałup i w zadumaniu żałosnem kreśliła wygnanka

na belkach, ławach i drzwiach linie takie dziwne. jak twoje myśli, albo bursztynowe sny swego serca malowałaś na pasach, kapotach, na wstęgach barwami ziół i kwiatów pól twoich. Dzieciom przy kominie, gdy zima naszła i gęsi paść nie trzeba było, opowiadałaś klechdy i podania, z ziemi, nieba i wody polskiej narodzone.

I tu cię o królewno tułacza tropiło łacińskie kropidło i wyganiało do puszcz i dzikich ostępów. Wracam do was o uroczyska święte, o stare drzewa moje, o źródła jasne. Zrzucam fabryczne ubiory, kładę długą, lnianą koszulę, lipowe łapcie, plaster miodu i garść zboża biorę w dłonie swoje. Wróciłam — witajcie! Ta sama ci jestem, jako czasu króla kołodzieja; zajrzyjcie w moje serce. Szukałam skrzydeł mego lotu na polach Cecory; po nasiąkłych krwią moją i wroga kresach, w furkocie orlich skrzydeł, w stalowym chrzęście zbroic goniłam za marą mego serca w purpurowym śnie duszy polskiej. A oto jest czas przebudzenia. I roztworzyły się uszy moje na tajemnicze objawienie wierzb świętych, i rozwarły się oczy moje na błogosławione ognie-dziewanny po piaszczystych wydmach polskich w tryumfie radosnym płonące. Jestem!

Idziesz ku mnie Ukrzyżowany, w cierniowej koronie, w wyciągniętych błogosławiąco dłoniach zatracenie mi niosąc, jak czasu onego, jak onego czasu! kiedy to przyszli kapłani twoi, zwalili święte moje drzewa. rozbili poświęcone ule, po uroczyskach moich świątynie twoje stawiali, a mnie na tułaczkę wygnali. Ale dzisiaj ja zwyciężę! Po trzech dniach zmartwychpowstały! wróć się z powrotem do grobu twego. Nazarejczyku! z nad Jordanu pocoś przyszedł nad Wisłę? Sieć twoja, gdyby chciała tutaj połów czynić, brałaby w więzy twory, o jakich nie marzyła dusza twoja nad jeziorami Galilei, — po głębiach naszych rusałki i wodniki słoneczne harce swe święcą. Belki twego krzyża zawsze jednako w poprzek siebie idą, a wierzby moje jako chcą rosną i niewiadomo nigdy gdzie gałęziami swemi wystrzelą. Nie ma słów, nad twoje słowa, słoneczne tęsknoty w Nieskończoność rzucone, ale wierzba więcej milczy o Nieskończoności i mniej nazywa. Smutnemi ustami mówisz o modlitwie do najlepszego ojca twego i o kościele twoim, ale biada jest duszy modlić się do czegokolwiek, oprócz do siebie samej, i budować inne kościoły, jak te, które wznosi ku chwale

swojej; a zaprawdę wyższe są ich wieże, jak starych tumów gotyckich. Miłośniku cierpiących i smutnych, o jarzmie nauczasz, które jest lekkiem, ale dusza gardzi wszelkiem jarzmem. a właśnie najlżejsze jest najcięższem. bowiem nawet mozołu w niem kochać nie można. Lekarzu dobry, o krzyżu twoim, jednym dla całej ludzkości symbolu mówisz, ale ja ponad symbol Nieskończoność kocham, a więcej niśli symbol Milczenie o niej mówi. Czas jest rozwalić wszelaką formę i wszelaki kościół, i przez Nienazwane spojrzeć twarzą w twarz Wieczności, oczyma widzącemi w duszę swoją. I cóż jest symbol?! I cóż jest prawda?!

Wyznawcy! teraz ja zwyciężę.

Rozpada się twój krzyż przed wierzbą. blednie w zmierzchu bolesna twarz przy złotem świetle dziewanny. Wyzwoliły się z więzień tajemne moce polskiej ziemi; płomiennogrzywe z hukiem i tententem wypadają z dziupli starych drzew, z mroków bagnisk, z głębi wód. Czerwone ognie nieznanych potęg się zewsząd prą. Słoneczny rydwan młodości chwytają na barki, w szpony, w słoneczne, radosne i pełne nocy bólu skrzydła. O szał! o upojenie! Na wóz młodzi! na wóz! W przeciwne strony potęgi prą, rwą się belki pod stopami.. Hej gdzie wola, gdzie chęć! Lejce puść, wędzidła rzuć, postronki u nóg tnij. Oto nóż! Hej leć! hej leć! Rozpęka się wóz! O potęgo! O szał!

Pada cień. łamie się pierś; pada cień rozpęka serce. Tyżeś to krwawe widmo upiorowe? o Ukrzyżowana! Ukrzyżowana! Ścieka po piersiach krew, kajdany u rąk i nóg. Ślubowałoć duszę dziecko, duszę bierz. Tłumem płyną widma w ułańskich czakach, w powstańczych burkach; wyciągają skrwawione piszczele rąk przed siebie. Krzyk rozpaczliwy w mgliste powietrze bez echa wsiąka. — „Do broni! do broni!“ Po przydrożnych kramach siedzący, Połanieccy podnieśli na chwilę strwożone głowy. ale opuścili je rychło nad wagi swoje, gdzie przenicę i buraki pracowicie ważą. Bez echa krzyk ginie. Błazny w czapkach z dzwonkami i grube, spaśne sokoły, spruchniałą czaszką powstańczą i zardzewiałą szabelką z rąk do rąk przerzucając. w piłkę się bawią, a kiedy zew bojowy nazbyt głośno wybuchnie, zgorszeni wołają: cicho, teraz obchód narodowy.

To chochoł Wyspiańskiego gra, to on.

Duszę za miecz! duszę za miecz! Co mówisz o zbrodni świętokradztwa? ślisko tu od krwi Matki dookoła. — Biała gałęź akacyi kwitnie.

Tadeusz Szymberski.

Akordy przyszłości.*)

„Biesiada dusz — pojmujesz Waść
to nasze bractwo?“

St. Wyspiański (Lelewel).

„Ach, niechaj bije akord srebrzysty
kryształowemi dźwięki w przestworza,
gdzie ton ton goni,
gdzie ton ton wzmaga
i nigdy.. nigdy nie tłumi.“

Zanim nadejdą one dalekie upragnione czasy „artystycznego człowieczeństwa“ i „swobodnej dojrzałości ludzkiej“, czyż niema dziś żadnej możności stworzenia — w małym bodaj zakresie — takiej atmosfery, któraby jak słońce wiosenne budziła pąki uśpione na drzewach dusz ludzkich i wyzwalała nagie i silne pędy życia, kwieciem bujnem okryte?

Trzeba zaiste przeczystych tchnień wiosennych, trzeba promiennej jasności i żywiącego ciepła wiosennego słońca, by te wstydliwe i trwożne pąki wynurzyć się mogły z tajemnych głębi na światło dzienne, a potem żyć i rosnąć znalazły moc i odwagę.

Jakże daleką jest od tego atmosfera stosunków dzisiejszych między ludźmi, wśród artystów — kapłanów piękna — nawet... i niestety! — w szeregach socyalistycznych również...

Pisałem przed laty:

„O, świat taki mroźny — — —
tak lodowate ludzkie dotknięcia —

*) Ustęp z obszerniejszej pracy p. t. „Pełnia życia i komuna duchowa“.

słowa tak zimne —
myśli zakrzepłe —
krew w sercach w bryły ścięte lodowe
Ach, ciepła mi dajcie!
tchnień ciepłych trochę —
palce skostniałe dajcie odchuchać,
skroń mą do piersi
bratniej przytulić,
tchnieniem wzajemnem
krwi tętno przyspieszyć,
w duszach — przygasłe
rozdmuchać zarzewie...

Ludzkość tak dzika — — —
wilki żarłoczne,
sępy krwiożercze,
mogilne hyeny —
ludzie —
czatują na ścierwo swych braci,
szarpiąc kawały
z jeszcze drgających,
warcząc na siebie
i kłem wzajem grożąc...
Hej! uczuć braterskich!
braci mi dajcie
i siostry prawdziwe!
niech przed uściskiem
mym dłoni nie cofną,
niechaj nie kryją
przed wzrokiem mym oczu,
niech uszy otworzą
na głosy mej duszy!...

Pustka straszliwa — — —
nagim obszarem

ziemia się zdaje.
acz pełna istnienia...
i niema pątnik gdzie wzroku zatrzymać,
i niema na kim
się wesprzeć — zmęczony,
i niema do kogo
przytulić się senny...

I dusza moja rwie się w tęsknocie,
błaga powietrza
i słońca i ciepła,
i myśli bratniej szuka
i duszy,
i drżenia serca bratniego wygląda...

Rozumiecie już, o co idzie?..

O ciepłą atmosferę braterstwa, o filareckie krzepienie się wzajemne, o wyzwalający nastrój „Komuny duchowej“ —

Nie bójmy się nazw!..

Nie baczmy na zohydzenie i pogrzebanie w opinii społeczeństwa poczynań w tym kierunku — przez nieudolność lub cyrkowość inicyatorów.

Wznieśmy się ponad zbyt łatwe odrzucenie metody dla kilku eksperymentów chybionych.

Tak! o braterski nastrój komuny duchowej idzie. Zastrzeżmy się odrazu, że nie idzie tu o „κοῖνα τὰ τῶν φίλων“ (kojna ta ton filon) bractw pytagerejskich, o wspólnotę dóbr materyalnych i duchowych, o dzielenie się wszystkim posiadanym, ani o pytagorejskie oddawanie życia jeden za drugiego — to rzecz drugorzędna, może być, lecz może i nie być.

Ani o hartowanie się i trenowanie w myśl hygieny Tomasza Zana i filaretów wileńskich, ani o poczwórną czy wyższego jeszcze stopnia wstrzemięźliwość W. Lutosławskiego...

Ani nie jest warunkiem wstępu do komuny spowiedź publi-

czna „elsów“ czy też prywatna przed „starszym“, z całego życia czy też części jego... — poznanie wzajemne życia uczestników wypłynąć może później, drogą naturalnego rozwoju komuny — wymaganem być nie może.

I nie o więź rozmodlonej pokory wobec postaci Chrystusowej idzie, jak w ekklezjach pierwszych chrześcian, jak w bractwach towiańczyków...

To nie stowarzyszenie żadne, ani zakon, ani organizacya... żadnych regulaminów ani wkładek członkowskich, ani „posiedzeń“ stałych a programowych... żadnych ślubów wzajemnych, ani kontroli... żadnych szczebli „stopniowego wtajemniczania“ ani „prób“ pytagorejskich, ni wymagań „euchemytyi“ (milczenia bezwarunkowego) czy „mystké siópe“ (milczenia warunkowego)... Byłoby to sprzeczne z poprzedniemi założeniami i wywodami naszemi, sprzeczne z celem i zadaniem „komuny“.

Byłoby to „contradictio in adjecto“.

Komuna duchowa — to spontaniczny, zupełnie luźny — a przecież ściślejszy nad wszelkie inne — związek jednostek, dążących do znalezienia i urzeczywistnienia siebie, jednostek, pomiędzy duszami których srebrzysty pająk sympatyi przeciągnął już swą jedwabną niteczkę.

Bez pierwotnej, danej już sympatyi komuna oczywista jest niemożliwa, gdyż zawiera ją w sobie implicite.

Więzią jedyną komuny — umiłowanie serdeczne i bezwzględne indywidualności człowieczej, celem jedynym — znalezienie samości swojej lub urzeczywistnianie „pełni“ życia.

Więc nie o podobne co do swej treści wewnętrznej jednostki idzie, nie o jednakie konkretne ideały i dążenia — naukowe, artystyczne czy społeczne, jeno wyłącznie i jedynie o wspólność owego najogólniejszego, lecz i najgłębszego ideału: stworzenia — przez każdą jednostką komuny — Boga swego i wzniesienia mu z kamieni życia swego — Świątyni.

Lecz jakżeż komuna ma dopomódz temu?

Otóż przedewszystkiem i głównie świadomością, że nie sam ja idę ku temu światłu drogą znojną i długą, że idzie on i ona i tamci... cała komuna, że jest to ich zabiegiem ciągłym,

nieustannym, ich nieusypną troską gryzącą, żrącą ich tęsknotą nieukojną i pożądaniem namiętnem i niegasnącem.

Świadomość — nie, że wogóle ludzie mogą, winni i muszą iść k' temu, lecz że te konkretne, te sympatyczne mi, tu obok będące istnienia idą... to jest ważne, to jest krzepiące, to jest zbawcze... i to jest wyzwalające! —

Pewność, że dla nich — komunarów — nie masz nic świętszego i bardziej nietykalnego, jak dusza ludzka jej odrębność i samoistność... pewność, że dusza moja na razy nienawiści, na dotknięcia lodowate szyderstwa, na ukłucia zawiści — w komunie nie jest i nie może być narażona, że najtajniejsza treść istoty mojej już z góry — nieznana — przyjętą będzie rozkochanem wejrzeniem przyjaźni i ciepłą matki pieszczotą, dlatego tylko, że jest właśnie moją treścią, treścią sympatycznej im istoty człowieczej... ta pewność rzuci przepotężny snop promieni w nieprzejrzane głębie morza mej duszy i perły, ukryte, ukryte dotąd tam na dnie, ukaże — dziwne, moje perły — — — a Świadomość, pereł poławiacz, chwytać je będzie i nanizywać — — — i za każdą nanizaną perłą nowa niteczka sympatyi zawiśnie między duszą moją a duszami innych komunarów.

Ta świadomość i pewność, to „zestrzelenie duchów w jedno ognisko" ukochania istoty człowieczej, wyzwalać będzie tyle ciepła, że stopnieć muszą najgłębiej ukryte pokłady i po przez spękaną w kratery skorupę w wulkanicznych rzutach wybuchać słupami ognia i strumieniami lawy — — a Świadomość, czujny obserwator naszych Monte Cateroni, notować je będzie i na moich mapach wykreślać — — — i za każdym wykreślonym wybuchem jedna nić pajęcza znowu się nawiąże.

Zrodzi, wytworzy ta pewność i ta świadomość wiosenną atmosferę komuny, atmosferę, która budzić będzie z siłą żywiołową, nieprzepartą, drgnienia tajemne życia w najdalszych ugorach duszy... i poczną tam kiełkować i na światło dzienne świadomości wynurzać się wiotkie, delikatne roślinki zarzuconych tam nasionek autochtonnych, swoistych, moich. Rozerwą się wierzeje, wiodące w mrocznie labiryntu Nieświadomości, i z najciemniejszych, najzawilszych kurytarzy wysuwać się poczną cienie zamieszkujących

je derwidów z harfami w dłoniach — — — a wytężone uszy strażnika świadomego chwytać będą przeciche tony strun ich — — — jeden, drugi, trzeci — — — z czasem melodyą całą może m o j ą melodyę — — — a za każdym tonem pochwyconym znowu jedna srebrzysta niteczka sieć pajęczą sympatyi naszej wzbogaci.

Tak więc, sympatya, świadomość braterstwa w poszukiwaniu i pewność ukochania nieznanych dzieciątek, co przyjść mają na świat — jest istotą więzi i tajemnicą działania wyzwalającego komuny.

Gdybym zapożyczyć chciał jakiejś nazwy ściślejszej a jędrnej, wziąłbym ją od tego, który „Γνῶθι σεαυτόν“ pierwszy w czyn wprowadził i nam je w spadku przekazał, i owo μαιευριχὴ (= położnictwo) Sokratesowe, jako jego czynność osobistą, zastosowałbym do komuny duchowej, dla określenia znaczenia jej i wpływu.

Sokrates twierdził, że sam on nic nie daje tym, których naucza, lecz jedynie uprawia rzemiosło matki swej, akuszerki, czyniąc to dla dusz, co ona dla ciał czyniła — pomagając innym rodzić myśli i postanowienia, które oni w głębi dusz noszą ukryte. Musiałbym tedy nazwać komunę „zakładem położniczym“ dla ułatwiania duchom porodów, dla wspomagania Bogom przychodzenia na świat, zakładem, w którym akuszerem zdolnym i równocześnie piastunem tkliwym jest atmosfera komuny. — Rozumiecie, że działanie komuny nie jest związane przestrzenią ni czasem — — — komunary nie koniecznie mają zawsze zbierać się razem, by się atmosfera „τῆς μαιευριχῆς“ każdorazowo wytwarzała — — — nie! mogą być o setki mil od siebie w danej chwili swego życia, mogą na lata całe nie mieć szans ni nadziei widzenia się — — — czyż sądzicie, że nie będzie nadal trwało między ich duszami to samo napięcie ciepła serdecznego, pewności i świadomości i że pająk sympatyi nie zdoła uchwycić każdego drgnienia, powstającego kędyś na jednym z krańców sieci srebrzysto-jedwabnej? — — —

Rozumiecie, że nic nie mówię o osobistej pomocy wzajemnej uczestników — — — dotąd to jeno działanie samej atmosfery komuny.

Nie było mowy o wyjawianiu przed sobą na wzajem pochwyconych odruchów swej duszy na te czy inne wydarzenia, na te czy

inne ideały, ni o wyjawianiu ideałów samych, marzeń i dążeń, uzgodnionych z owymi odruchami, sprawdzanych przez nie ustawicznie.

Oczywista, to miejsce mieć będzie!

Atmosfera komuny uczyni to możliwem — — — przełamie nieśmiałość, trwożność i wstydliwość duszy ludzkiej w wykrywaniu najtajniejszych wątpliwości i najskrytszych marzeń — — — najwstydliwszych, najintymniejszych bólów duchowych, śmiesznych w swej małości dla oka postronnego, lecz najważniejszych, gdy idzie o znalezienie drogi własnej, o wykrycie tożsamości ideału ze źródłem samości, z treścią rzeczywistą istoty naszej.

Musi się w końcu zacząć w komunie „duchów biesiada“, za którą od wieków tyle, tyle istot tęskniło — od najmniejszych do największych... bez której ja oto — wierzajcie — żyćbym na dłużej nie zdołał...

Zacznie się zgłębianie wzajemne, poznawanie się i przenikanie do głębi.

Ach, powiedzcie, czyż jest coś bardziej pociągającego nad wyśnione, upragnione podróże po obszarach dusz bratnich z rozkochanym w nich przewodnikiem — właścicielem?

Oto wchodzę wzruszony, z oczyma jak u dziecka rozwartemi w omrocza świątyni twej gotyckiej, bracie mój!... wysoki las smrekowy kolumn... pnące się w nieskończoność lilie witraży... przedziwne smugi świateł tęczowych z szeregu różyc — — w niszach ciemnych białe marmury posągów — — — oto ciężka, gęsta kotara w ołtarzu wielkim — — — tam On, nieznany, Bóg twój, — — a tyś kapłanie nie znalazł dotąd dzwonka zaklętego, na odgłos którego kotara w górę się wzniesie — — — Wiedź mię, wiedź mię siostro! w rzeźbione twe groty, „ku tajemniczym snom stalaktytowym“, ku wizyom jezior podziemnych, w królestwo gromów i koboldów, kędy w głębi otchłannej labiryntu skarb twój ukryty leży — — — a ty Arjadno szukasz jeszcze kłębka cudownego, byś z nim dotrzeć do Skarbu zdołała — — —

Podaj mi ramię bracie młodszy! daj linę, ciupagę i haki i prowadź ku wirchom twoim, „skąd pycha wygraża światu pięściami z granitu“, na turnie, na krzesanice, ponad źleby zawrotne,

ponad „rozdoły szumiące“, poprzez przełęcze, lodowce i śniegi wieczne Himalajów twoich, aż hen! pod szczyt Ewerestu, na który daremnie dotąd pragniesz wejść, przewodniku mój — — —

A teraz idźcie ze mną nad bezkreśne tonie mego morza — — spojrzyjcie na opale fal o jutrzence, na zwierciadlane szafiry w południa skwarnego ciszę, na różane, liliowe, złote tafle o zachodzie, na czarne groźne cielska rozhukanych w burzy zamęcie potworów z wichrowemi białemi grzywy, na srebrzyste łuseczki miryady igrających w poświacie księżycowej syren — — — wsłuchajcie się w modlitewny szept żalu barwnych piasków nabrzeżnych za uchodzącą w dal falą, wsłuchajcie się w nieukojną, wieczystą pieśń tęsknoty fal moich — spoczynku nie mających, wsłuchajcie się w głuszące straszne jęki oszalałego w rozpaczy olbrzyma — skutego skał obramieniem — — — a potem siądźcie w łódź lekką, białą i płyńcie ze mną w zasnute mgłą dale, zapatrzeni w migające pod nami w przeźroczach dziwy i zjawy i strachy — — — płyńcie, płyńcie — hen!, kędy zachodzi słońce moje — — —

———

„Dobrze, dobrze, lecz cóż to pomoże w znalezieniu siebie?
Bezpośrednio — nic.
Bo twoje królestwo nie odpowiada memu — — —
twoje źródło z innych pokładów bije — — —
twój Bóg nie w takiem niebie się narodzi — — —
twoje ideały, twoje marzenia memi się przez to nie staną — — —
twoja droga innemi szlaki się toczy — —

Lecz cóż to szkodzi? wszak i Nietzsche powiada: „niejeden własnych kajdan zerwać nie zdołał, a stał się zbawcą dla przyjaciela“ — podróż po obszarach twej duszy poruszyć może setki strun w mojej, wbrew memu spodziewaniu, wbrew twoim przypuszczeniom.

Tak, to znowu tylko pomoc pośrednia, lecz przecie tak czynna, tak nieraz wielka, i tak — braterska — — —

Zaś poza pomocą, w tworzeniu siebie — ha! tu się właśnie poczyna owa utęskniona „biesiada dusz“!

A w miarę, jak się zbliża wielka godzina narodzin w biesiadujących duchach, wielkie świtanie stworzenia...

— — olbrzymieje rozkosz biesiady, bowiem jesteśmy w stanie poznać duszę inną o tyle tylko, o ileśmy posunęli znajomość własnej.

Zaczyna się uczta lukullusowa, czy petroniuszowa raczej, święto iście dyonisyjskie! — w komunie tęsknoty twórczej, w ramach tworzelni duchów rodzą się i rozwijają związki przyjaźni — rozumiecie? jaźń przy jaźni, ukochanie się, zrozumienie, przeniknięcie się wzajemne do głębi, rozpinanie tęcz stubarwnych między jedną duszą a inną, tęcz wiekuistych, niezniszczalnych, poprzez otchłanie przestrzeni i czasu, poprzez płomienie i nawałnice życia — — —

Rozumiecie? — —

Atoli o przyjaźni dziś mówić nie będę — — — innym może razem, jeśli zdobędą się na odsłonięcie „coram publico" bodaj części z własnej mojej drogi — o ile wykryłem ją w sobie, o ile znam ją sam oraz kilka „przyjaznych" mi duchów.

Komuna jednak — mówiłem na początku — nie jest tylko „zakładem położniczym dla dusz". To równocześnie tworzelnia tytanów, ludzi-bogów, ludzi wcielających Boga swego w życie swoje, tworzących jedności: ideał — czyn, życie — marzenie...

Ta sama atmosfera, której tchnienie ułatwia duchom porody — świadomość, świadomość, że każdy z komunarów drogą swą iść ma, pragnie, chce i pójdzie na pewno, — pewność, że najnaiwniejsze, najśmieszniejsze dla oka obcego czyny i postępki w Komunie witane będą hosanną wesela, jeśli są istotną przynależnością ducha mego, rozumiecie, że ta wiosenna, bujna, rodna, atmosfera wywołać musi taki rozrost, taką moc, taką prężność, taką rozlewność owianych nią duchów, że przemkną aż do koniuszków palców, do każdej komórki nerwowej, do każdego włókienka mięsnego, że niemożliwą się stanie — wbrew wszystkiemu — niezgodność duszy z życiem, że już faktycznie będzie wedle słów Guyau „każde poruszenie ducha pociągać za sobą ciało" — już istotnie będzie „odrodzenie z ducha i natury".

I dalej jeszcze... Komuna to właśnie, jej atmosfera przepojona sympatyą i ciepłem serdecznem, nasiąkła świadomą pewnością

braterstwa — podtrzymać cię może w chwilach osłabienia, znużenia i upadku ducha.

Ach, wiem przecie, są godziny — długie nieraz.. miesiące, lata trwające, gdy

„ból wszechmocny posiada głos“,
kiedy „bezdenną grób przepaścią zieje,
gdy gaśnie skra po iskierce.
gdy „pędzi duch ludzki
i naprzód i wstecz,
niby garść kurzu
porwana cyklonem...
a przed nim i za nim
płomienisty miecz
iskrzy się w polu czerwonem...“

(*z Jana Kasprowicza*).

a wokoło noc cmentarna, głucha...

a wyjścia znikąd... jeno zewsząd rozpacz, rozpacz, rozpacz oszalała, miażdżąca serce zwałami zimnych, ślizkich głazów, wygniatająca krew aż do kropelki, z każdej — osobno — komórki móżgowej, że... oślepnąć można na zawsze...

Siły ci zbraknąć mogło iść drogą swoją, nieuchylnie.

Komuna twa wówczas zbawić cię może... nie ukoić, nie! ukojenia nie ma niekiedy... ale podtrzymać cię pomoże, krzyż udźwignąć, dłonie braterskie, rzeźwiące, na gasnących oczach położy, siły zwątlone pokrzepi, że przetrwasz mękę, jak tytan, że nie zepchniesz w grób nicości ducha swego, tego jedynego, tego niezamienialnego, dla zapomnienia chwili, dla godziny „szczęścia“, tak zwanego „szczęścia“. Zaś w żmudnej i najtrudniejszej pracy przepajanie sobą każdej godziny życia, nieustannego służenia Bogu swemu, ciągłego wcielania siebie w tę zwyczajną, codzienną niemal rzeczywistość, najsilniejszym może bodźcem i najczynniejszym motorem Komuna ci będzie.

Pewność, że wszyscy w niej idą tą drogą, krzepi i naprzód, wciąż naprzód popycha.

A obawa o zawiedzenie pokładanej w tobie ufności, boć wyczują wszystko po nitkach pajęczych sympatyi, obawa o sprawie-

nie bólu, o poderwanie sił innych — o, to więcej nieraz znaczy, niż wewnętrzne poczucie takiego drobnego uchybienia Bogu swemu, takiej drobnej niezgody z duszą...

Wzywam wielkim, z głębi przeświadczenia bijącym głosem: wiążcie się w komuny, szukający siebie, „pełni“ spragnieni, stęsknieni za dusz braterskiem pożyciem!

„Zwołujcie dusz rojowiska,
prześwięte Sprawniki Sprawy,
na wielkie duchowe igrzyska...
do wielkiej duchów Biesiady“.

(*St. Wyspiański:* Legion).

W akordy się wiążcie srebrzyste!
W akordy, bijące.

„Kryształowemi tony w przestworza,
gdzie ton ton goni
gdzie ton ton wzmaga
i nigdy... nigdy nie stłumi“.

Słuchajcie, oto już

„bije srebrzysty
akord w przestworza,
nutą wyższego
brzmiący istnienia!
ciągnie ku sobie
inne — błędne tony,
wiąże je w coraz strojniejsze akordy,
wzmaga się w sile,
uroczyściej dźwięczy,
mocą swą inne
akordy porywa,
rośnie w bezmiary,
i przestwór wypełnia
Prometejową, boską symfonią!...

Ach, są to zaiste akordy przyszłości.

Są to przyszłość wieszczące hymny.
Wiecie, czemu?

Bo tam, na fundamentach nowego społeczeństwa, gdzie ustanie to dzisiejsze „wolne współzawodnictwo między jednostkami, z których jedna — jak mówi D. G. Ritchie — ma nogi w worku związane i ciężar na plecach, druga siedzi na dobrym wierzchowcu, zaś trzecia pędzi pospiesznym pociągiem“...

gdzie Sokrates, Chrystus i Giordano Bruno nie będą uznawani za „najnieodpowiedniejszych“, za najmniej do życia przystosowanych, nie będą truci, krzyżowani lub paleni na stosach...

gdzie Galileusze nie będą zmuszani odwoływać publicznie swe odkrycia naukowe, ni Kartezyusze palić własnoręcznie swe dzieła...

gdzie żaden rząd nie będzie rościł pretensyi, ni miał prawo, ni władał siłą do rządów nad duszami..

gdzie każdej sferze ludzkiej jednako będzie zapewnioną możność harmonijnego rozwoju... —

Wówczas ludzkość cała, uspokojona przez wolność, zjednoczona przez równość, potężna przez braterstwo będzie taką „Komuną duchową“, bowiem upowszechni się i ziemię dokoła otoczy owa atmosfera wiosenna, ciepła i czysta, wyzwalająca, bujna i rodna, przepojona czcią i ukochaniem indywidualności człowieczej... —

i po ziemi całej miliony jednostek wznosić będą świątynie Bogom swoim...

A wierzę, że powstawać będą bez liku związki „przyjaźni“ i że niezliczonemi również będą przyjścia na świat tytanów „pełnią“ żyjących, chrystusowych sobowtórów, ludzi-bogów.

W Zakopanem *Kazimierz Romin.*

Kwiecień 1906.

Za nami — nic!

(Luźne kartki.)

Życie — to tworzenie. W niekończącym się pasmie stawania śród zjawisk życia i śmierci, miłości i nienawiści, zła i dobra, —

pierwiastek wiecznie młody, wiecznie silny i królewski. Idea twórcza — Dążenie do wyżyn prawdy i piękna — oto obraz świata. Życie — to tworzenie, to zdobywanie wyższych form, to dążenie do czystości i prawdy bytu. Ponadto życia niema.

*
* *

A zaprawdę, ktoby chciał życiem nazwać cokolwiek inne, niż uciążliwą drogę do prawdy i piękna, niż znojną walkę o godność swoją i o prawdę, niż święte dążenie do wyższych form, — ten będzie handlarzem świętości, faryzeuszem u poświęcanych ołtarzy, kłamcą!

*
* *

Ważyć ludzie muszą myśl swą i czyny, aby nie było ich życie całe pasmem nicości, aby ich mózg tworzył myśli, aby ich uczucia były uczuciami, aby ich wiara była od Duszy świata zrodzona, aby nie byli obłędni w swoich czynach.

*
* *

Wychodziłem na pola twoje i na lasy twe, i w królestwie twem błąkałem, o Życie!

I widziałem ciebie, gdyś rodziło w dniu wczesnym lata zielone pokrycie pól i drzew, — widziałem jak wschodziły trawy i ku słońcu wyciągały swe korony, kielichy kwietne, — widziałem, jak w milczeniu ważyły się najgłębsze myśli i odkrywały tajemnice podczas porannych godzin, — widziałem ciebie tam wtedy, Życie, czyste, królewskie, tak potężne, żeś zawierało w sobie wszystko — i pyłem była wobec cię myśl ludzka i najgłębsze wiary i uczucia... Śród zielonych run szedłoś — spokojne, świadome, ponad prawdą i kłamstwem bądące — Życie-Idea, tchnienie świata.

I byłem, gdzie chodzisz smutne i zmartwiałe, byłem na ugorach, gdzie zła ręka wypaliła kwiaty i trawy i widziałem, jak pod twem spojrzeniem zakwitały głogi i kaktusy, — widziałem smutne królestwa twoje śród ludzi, gdzieś spojrzeniem swojem wzbudzało uśmiech i ocierało łzy, — widziałem: pod ręką twoją klękali zło-

czyńcy i opuszczali czoła, dumni i pyszni zamilkali, — gwałtowni upuszczali ręce — ci, co nigdy nie umieli płakać — płakali, — co się nie umieli modlić — modlili, co byli hardzi i puści, osiągali najwyższy szczyt wzniesień duszy — ciszę i pokorę. Widziałem ciebie, Życie, u trumien i u kolebek, u sarkofagów i pomników, u ludu mówców i pustelników, — widziałem, jak wielkość twa przewyższała miary i granice, jak tonęło w niej Zło i zamierała Niechęć — jak wywyższone było w tobie najdrobniejsze ziarnko Prawdy i Modlitwy...

Widziałem ciebie w ptakach i kamieniach, w trawach i zwierzętach, kryłoś się śród czynów ludzkich, śród śmiechu i płaczu.

*
* *

Ktokolwiek nie w harmonii świata szuka praw swych i prawd — ktokolwiek idzie przez życie z jarmarkiem i śmietniskiem w duszy swojej, gdzie królują prawdy i kłamstwa i gdzie wzniosłość z podłością, małostkowość z powagą się kłóci — ten ślepy jest i głuchy i jako proch, który wiatr nosi i niema celu życie jego i nie może być ostoi dla bólu jego i dla myśli.

*
* *

Ważyć ludzie muszą w sobie swe myśli i przeznaczenia. Nieśmiertelną po nas i jedynie wartościową zostanie wiara w prawdę i piękno, wysiłki o nie i zdobycie, i pomnik człowieczej chwały będzie ubrany w te szkarłatne kwiaty-czyny, które wyrosły z głębin duszy ludzkiej. — Waga życia ludzkiego, piękno i radość, moc i tryumf jego, to wypadkowe rozmiarów i bogactwa ukochań i nienawiści, głębi myśli i uczuć.

*
* *

Ludzie potrzebują wiary, aby żyć mogli. Wiara jednak nie może być mrzonką — dusza nasza to całokształt myśli naszych, pożądań i chęci — wiara, to pełne objęcie zdolnościami naszemi bytu świata — to wytworzenie syntezy... a zarazem podstawy i gruntu dla naszych czynów i życia.

Czy w duszach ludzkich, które po jarmarkach chodziły dotąd, nie obudziła się już i nie rozrosła wreszcie tęsknota za życiem — treścią, za życiem z wiary płynącem?

Czy nie obrzydło nam stąpanie nasze niepewne i drżące, czy ten lęk gorączkowy, który w oczach naszych drży, nie zmęczył nam już powiek?

Wiara w prawdę istnienia naszego, w konieczność i określoność czynów naszych — we wnętrzną treść naszego powołania — w treść i znaczenie pyłków i ciężarow świata, które krążą dokoła nas — zrozumienie ciężaru i znaczenia życia naszego, potrzebne nam i konieczne.

Bez takiej wiary, bez określenia sobie tych zasadniczych pierwiastków życia, człowiek niezdolny jest żyć; jeżeli nawet będzie trwał na ziemi, będzie on jakby żartem przyrody, śmiechem pustoty, rzuconym w przestrzeń — prawa jego, zasady najpodstawniejsze pozornie, jakby najistotniejsze, będą jak bańki z mgły, czyny jego, jeżeli się na nie będzie zdobywał, będą bezimienne i będą dźwięczały pustką — jeżeli nawet zdobędzie się na czynienie ich wiele, będą one jak duże, żółte owoce maku, sterczące na zżółkłym ściernisku, pod jesień, puste, bez ziarn. Może ich być dużo, tyle...

Wiara musi być śród ludzi, aby czyny ich były mężne i treściwe, aby spojrzenie ich oczu było pewne i czyste, aby czoła ich były otwarte i jasne — jak dla kwiatów i lasów, aby były bogate i piękne, konieczną jest wilgoć potoków, niosących nowe źródła siły i gąszcz głębi leśnych, gdzie panuje zaduma, modlitwa i tęsknota się rodzi.

*
* *

Życie — to tworzenie — czyn, ale czyn głęboki, tworzenie tego, czego pożąda dusza ludzka, ciągłe podnoszenie duchowej wartości przez czyn — czyn wewnętrzny, kształcenie woli i mocy swojej, i czyn zewnętrzny, materyalny — konieczność i piękność życia ludzkiego. Życie więc ludzkie, ażeby miało wartość swą i piękno — musi być czynem, wykwitem duszy, jej koniecznością!

Czyn! — słowo wielkie! — na czyny ważą się dusze bogate! Czyn nosi na sobie piętno powagi i świętości! Do czynu ludzie

przystępują, umywszy ręce — na spełnienie czynu trzeba mieć skrzydła — czyn jest zawsze błogosławieństwem, jest poświęceniem i skupieniem — spełnić czyn, to znaczy wyczerpać naturę swoję, całe bogactwo i siły swoje, ażeby świat popchnąć naprzód, ażeby mu jedną jeszcze gwiazdę rozetlić na nieboskłonie, ażeby o jedno stajanie pchnąć go ku słońcom!

Źle, gdy epoka nie zdolna stworzyć człowieka czynu, gdy pełzanie nazywa się czynem, gdy ci, którzy chcą przewodniczyć, ośmielają się kłamać idei czynu, gdy choćby jeden poklask się znajdzie, dla faryzeuszów prawdy, świadomych, czy bezwiednych!

* * *

Dla człowieka dzisiejszej epoki zrozumieć i ukochać istotne piękno bytu, to pojąć razem nicość życia naszego dzisiaj w najgłębszych warstwach jego — życia bez duszy i treści.

W pochodzie swym przyszła dziś ludzkość na jałową pustynię, śród wydmy i piaski. — Domy nasze, miasta nasze, ulice nasze, koleje nasze, teatra i uczelnie nasze — to zżarzone w skwarze upału codziennego szkielety suchych drzew — otacza je żar powietrza i gorączkująca, śmiejąca się nerwowa myśl nasza wyschła.

Jak beznadziejnie szare są interesy nasze i potrzeby, jak beznadziejnie nikłe są stosunki między ludźmi, jak nijakiemi są opinie nasze i sądy, jak mało każdy z nas waży na wadze wartości bezwzględnej ducha — ideały nasze nie sięgają wzwyż nad komunały — zadania życia naszego nie wybiegają nad poziom domów naszych — prawdy nasze, to jak dym z kominów naszych: obłoki tworzy nad światem przyziemne, od słońca daleko... Epoka dzisiejsza — to epoka oniemienia umysłu, przytępienia czuć, powszechnego zbagatelizowania świętości, — tego strasznego pomniejszenia wielkości — chwalby wszystkiego, co przeciętne, co pospolite i nikłe — i śród tego my, tak dumni z siebie kapłani przecież nawet ołtarzy, na których palimy... słomę. Na psy zeszło pokolenie dzisiejsze, wnuki Prometeusza i Ikara.

Mydełka sprzedaje ono przez całe lata życia swego, na targi przychodzi otręby życia swego wychwalać i za ziarno je ma — na

targowiskach jałowe życie mu spływa. Dzieci pokoleń dumnych i silnych, hartu i wiary — kupcy teraz, fabrykanci perkalu i mydła, handlarze wiedzy, uczuć i cnoty! Kapłani słomianych ofiar!

* * *

Mamy wiele i bardzo wzniosłych „ideałów“! Na „ideałach“ tych oparte jest dzisiejsze życie rodzinne, społeczne... Jakie ideały biedne, jakie żadne!

Ideał nasz społeczny, to ideał socjalizmu — powszechnego głosowania, ośmiogodzinnego dnia roboczego, — rzeczy naturalnie słusznych i wielkich i nie w stawianiu tych żądań tkwi grunt. Grunt tkwi w tym, że jest tyle ludzi, którzy stawiają je z dobrą wiarą, którzy psują sobie na nie gardła i którzy potem kładą się spać z przeświadczeniem, że zrobili dużo, że pchnęli świat naprzód! Złe jest w tym, że ci ludzie, że tylu ludzi nie rozumie śmieszności swego położenia! Bo czy kto z ludzi, oprócz owych przysięgłych mówców, wierzy, że Europa prędko otrzyma powszechne głosowanie, ale prawdziwe i szczere, i rząd istotnie ludowy i ośmio-godzinny dzień pracy? No, prawda — urządzamy strejki to tu, to tam i wygrywamy — powszechne głosowanie już idzie, idzie... No i cóż? Sto lat i więcej odgradza nas od chwili zdobycia tych praw!... albo... jedna chwila! Jeden dzień i jeden miesiąc — tak, jeżeli... jeżeli lud się zerwie do rewolucyi. To jest rzecz znana. A czy ten lud się zerwie? Galicya? Austrya? Niemcy? — i tu tkwi smieszność panów mówców... Rewolucya może zdobyć wszystko, co zechce w przeciągu dwóch dni, może życie do góry nogami ułożyć, ale — potrzebny jest jeden warunek — ludzi wielkich! dusz nadziemskich! idei i ideałów, któreby włożyły niezagasający nigdy zapał w piersi! — A czy panowie mówcy i t. p. zrozumieją takie słowa? — Nie! Czego nam potrzeba? Niczego! Jesteśmy na dobrej drodze! Zrobimy! — Ale co?! — Tu, gdzie powinny być myśli niekończące się, marzenia nie mające granic, płody nieujęte, wiara, co góry łamie — jest nic... nic... nic... Powszechne głosowanie! Ośmio-godzinny dzień pracy! — one nie zbudzą rewolucyi! Bożyszcze płazów. — Musi pójść śród ludzi wiara w coś większego i piękniejszego,

w coś, co nakarmi duszę i marzenia. — Czy takich społecznych marzeń nie można rzucić? Ale najpierw trzeba rzucić w kąt półbożków! Nawet takich, jak... niepodległość Polski! To mało! to wszystko mało! — Braterstwo! Wolność! Niepodległość! Tam gdzieś, jak echa unoszą się w dziejach ludzkości najcudniejsze, najgłębsze hasła. — Trzeba zbudzić D u c h a, u c z u c i e, w i a r ę do Czynu — popalić rachunki społeczników i filozofów — trzeba ludzi umieć p o ś w i ę c i ć dla Czynu. — Czy wy, handlarze zapału i kuglarze cudów, macie dzisiaj takich ludzi, jakich Wielki Wódz Zachodu prowadził ongi pod sztandarami swemi na lody północy, — czy wy macie takich, jak ci, co przemaszerowali od zachodu na wschód Europę i krwią swą użyźnili Amerykę dla idei swojej — takich nieumęczonych, tak wierzących i tak wytrwałych, — a czy macie tak wzniosłych, tak wielkich, jak ci, co po trzydziestych latach rozniecali miłością swoją i mocą duchową hasło rewolucyi po całej Europie — czy wy sami tacy jesteście? — Wielka idea, przerastająca nawet możliwość na owe czasy, stworzyła Rewolucyę wielką francuską, wielkie umysły przygotowały ruch 48-go roku, — pierwsi socyaliści: Marx, Liebknecht i poprzednicy ich — to byli ludzie, mający wiarę kolosalną, powagę duchów przodujących. — To, co jest dzisiaj, jest bagnem — i dlatego, tylko dlatego jednego jedynie, ta g w i a z d a ż y c i a i z w y c i ę s t w a, która w naszych oczach ukazała się nad horyzontem, zajdzie po dniu krótkim, nie wzbudziwszy Czynu — chwila rewolucyi i stworzenia nowych form przychodzi rzadko, — dziś ona przyszła na życie ludów europejskich i — w naszych oczach zgaśnie. — Ażeby ją zrozumieć, potrzeba kolosów — my jesteśmy — ... socyalistami!

* * *

Jednej fali potrzeba, myśli nowej, którąby przeszła przez ludzkość, myśli nowej i porywającej, społecznej, czy duchowej, ale myśli takiej, która umiałaby się zakraść do głębi dusz, w których choć trochę ognia tli jeszcze — myśli wielkiej i twórczej — myśli miłości i nienawiści choćby, zakreślającej sobie granice panowania na niebo i ziemię — jednej potrzeba takiej fali, którąby stworzyła

szeregi wyznawców i zatliła nowy ogień w oczach, nową wiarę w piersiach — a spłyną gdzieś w odmętach stowarzyszenia „wstrzemięźliwości“ i „abstynencyi“ i śladu, ani wieści nie będzie po ich bytności — zło zniknie, czy zmaleje, ale i wiedzieć nie będziemy, kiedy i jak...

Romę upadającą z martwych wzbudziło wielkie słowo Chrystusa, Francyę i świat europejski grzążący w błocie, zbudziły i do nowego powołały życia hasła „Równości“ i „Wolności“. — Socyalizm był przez lata całe twórcą dusz wielkich i czynów bohaterskich — dzisiaj, gdy epoka nasza niema wiary, ani myśli, czy możemy żądać czynów? prawdy?

* * *

N i c o ś ć życia dzisiejszego społeczeństwa naszego, jest jakgdyby naszą najznamienitszą cechą! Czem my jesteśmy i co my robimy? — Nic. Myśli się u nas na kilka tylko określonych sposobów — dwie, trzy teorye polityczne, przeżyte systematy filozoficzne i... jeneralny, ogromny, wielki O b u c h s p o ł e c z n y!!

Zbagatelizowanie i spłycenie pożądań, sprowadzenie do śmietniska życiowego i wciągnięcie do jego rejestrów wielkich uczuć i pojęć, sprowadzenie wszystkiego, co tchnie życiem ducha, co ma wartość, mogącą objąć świat cały, na stół codziennego robienia kotletów — oto jedna z cech dzisiejszej bezdusznej i beztreściwej epoki.

Każdy „człowiek“ dzisiejszy rozumie wszystko, dla niczego nie ma on czci, i przed niczym klęknąć nie umie, wszak posiadł wszystkie tajemnice bytu, wszak nawet sama tajemnica przestała być dla niego taką... Bóg kotłów i maszyn, pan wszystkich przejawów świata organicznego! Cóż jego potędze oprzeć się może? Pokoje swoje obstawił tem, co przecie największe i najznamienitsze ze zdobyczy człowieka — sztuki, obrazy, wiedza... wszystko wie i rozumie. — Twórczość — to wibracye zneurastenizowanych komórek nerwowych, zresztą pewna, większa zdolność wyrażania myśli, które nam wszystkim przecie... dla nas wszystkich przecie... tak wspólne — no tak nasze...

Wiara — no tak, to się przecie rozumie samo w sobie. — no tak, wiara — obałamucenie księży, coś tam z atawizmu pogańskiego... zresztą... zresztą dzisiaj, gdy przyroda...

Bóg? — he! he!

Prawda? Cnota? — Ee... pojęcie względne — no przecie każdy z nas rozumie, no tak — przykazania Mojżesza — oto wielka rzecz, wielka...

Nieskończoność, wieczność — no to zrozumiałe — gdzieżby... jakie...

Trudno mówić o warstwach głównych naszego społeczeństwa, o tak zwanej „masie inteligencyi“ — przeżycie duchowe, cynizm wobec wszystkiego, co święte, co tajemnicze, bezduszne i lubieżne użycie wszystkiego pięknego, co daje życie — to cechy.

Bezpłodne, dzikie, ugory dusz...

Smutno, szaro i strasznie... Gdzie ci, których miano człowiek! Gdzie ci, którzy przecie mają w sobie ducha — Boga twórczego! Gdzie ci, którzy w swej duszy stworzyli pojęcia — Mocy, Dumy, Świętości, Czci, Boga, Nieskończoności, Wieczności, Dobra, Cudu! Gdzie Boga przecie synowie! — Raby kłamstwa i fałszu, lenistwa i ociężałości — bez miary i twarzy, twarzy, w których jak ku ironii istnieje Dusza i Myśl zrodzona.

*
*   *

Bohaterstwo życia — marzenia dusz wielkich, najgłębsze tęsknoty ku wcieleniu prawdy i piękna, poszukiwania drogi do Boga i do wieczności.

Bohaterstwo życia — wizya zorzy polarnej śród tryumfu śmierci, pragnienia zdobycia szczytów górskich...

Bohaterstwo życia — to dla wielu istot dzisiejszych smutne cmentarze ich dusz, gdzie groby wieją chłodem i zimnem, gdzie jednak po wygracowanej ścieżce przechodzi duch — bankier życia codziennego do kantoru swego bytu...

Bohaterstwo życia — to widmo blade cudów duszy ludzkiej, to pamięć wątłego, drobnego dziecięcia, co zasnęło w zaraniu życia swego na posłaniu z róż — to posiadanie wiary! prawdy! mocy!

*
*   *

Rewizya wartości wszystkich dotychczasowych — rewizya istotna i szczera — rewizya świętości najświętszych choćby dzisiaj — zważenie w istotnych głębiach duszy naszej wszystkich najwyższych „prawd“ naszych dzisiejszych — oto i powołanie naszego pokolenia, oto jedyna droga do stworzenia znów „życia“ na ziemi, do zrównania się znów z mocą Boga-ducha, do wydostania się ze stanu dzisiejszego zabagnienia, zmałostkowania, znikczemnienia...

Precz ze świętościami dzisiejszych handlarzy prawdy, cnoty, ducha! Wyrzućmy z dusz naszych tę najwyższą zarazę dla czystości naszej i ten jad dla boskiego pochodzenia naszego — świętości dzisiejsze! Niech w duszy naszej nie znajdzie nigdy miejsca to, ani cień tego, co świat dzisiejszy nazywa cnotą, prawdą, czcią, wiarą, bohaterstwem, wiecznością, poświęceniem — hasła faryzeuszów i kłamców ducha nawet wtedy, gdy starają się nimi nie być! Niech tęsknota dusz dzisiejszych stanie się mocną tak, by mogła wzruszyć posady królestwa dzisiejszego — niech stworzy religię duszy i wiary!

* * *

Cel tego pisania, to zarysowanie śmiałą linią niektórych cech kończącego się okresu społecznego u nas, okresu zresztą, który kończy, umierając na gangrenę — zanim nowe zjawiły się myśli i dążności, jemu zbrakło sił, aby dotrwać w powadze do końca — dziś pozostawił on w spadku rozprężenie pojęć, nieobecność myśli, niewykształconość dusz. Nowe pokolenie w pierwszym rzędzie musi zrozumieć, że za sobą niema nic! Wszystko, co mamy mieć — musimy sami stworzyć. — Mieć życie — to znaczy mieć swoje wartości. A wszelki kompromis z przeszłością w tym względzie, to gaszenie i zabijanie w zarodku naszego piękna najwyższego — naszego życia!

Henryk Raabe.

CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE,
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.